MOLUKOWIE W HOLANDII str 2
RADOGOSZCZ str 3
LAUREACI RUBINOWEJ HORTENSJI str 4
WYCIECZKA DO DREZNA str 7

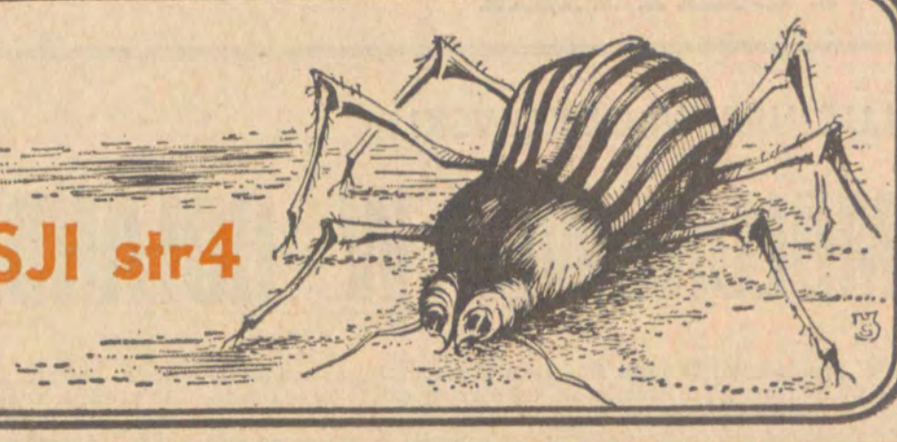

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 25 (1019)
19 CZERWCA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

ZDROWIE

EUGENIUSZ IWANICKI

POŃCZOCHY DLA CHORYCH

Specjaliści z RWPG twierdzą, że co najmniej 40 proc. ludzi winno nosić pończochy lecznicze lub profilaktyczne. Przyczyn powstawania żylaków jest wiele; niestety nie jest to choroba naszej cywilizacji. Schorzenie to jest równie stare jak ludzkość. Medycyna obok zabiegów chirurgicznych zna także metody leczenia zachowawczego lub profilaktycznego. Do tego celu służą specjalne pończochy mocne, elastyczne, o różnym stopniu nacisku.

Czy mamy takie pończochy?

Mam przed sobą listy ludzi chorych. Są to dokumenty wywołujące nie tylko współczucie ale i nakłaniające do głębszych refleksji. Chorzy piszą do jedynego producenta jakim są **ZAKŁADY PRZEMYSŁU POŃCZOSZNICZEGO „ZENIT" w Łodzi.** Piszą, bowiem są przekonani, że być może tu znajdą zrozumienie i ich potrzeby zostaną zaspokojone.

„Otrzymałem od lekarza receptę na pończochy elastyczne do kolan nr 16, tu u nas w Poznaniu w aptece chcą mi dać nr 14, twierdzą, że innych numerów dawno nie otrzymują, a ja tego rozmiaru wciągnąć na nogi nie mogę" — pisze Stefan Z. z Poznania.

Dalszy ciąg na str. 6

USŁUGI

BOGDA MADEJ

KTO SIĘ BOI RZEMIOSŁA?

Z prezesem Łódzkiej Usługowej Spółdzielni Pracy — mgr inż. SŁAWOMIREM WALCZAKIEM rozmawia Bogda Madej.

Wiele jest powodów, dla których nieustannie interesujemy sie usługami. Rosną zarobki, rosna nasze wymagania, rosna potrzeby — szukamy wiec specjalistów, którzy wykonaliby różne prace w naszych mieszkaniach. Buduje sie coraz więcej domów, wiec i rzemieślnicy, którzy zajeliby sie ich urządzaniem, są nieustannie poszukiwani. Coraz wiecej pojawia sie samochodów na ulicach, zatem i w warsztatach naprawczych i na stacjach obsługi tłok stale zwiększa sie. A poza tym wszystkim teoretycy utrzymuja, że w miarę postepu uprzemysłowienia, w miare rozwoju społecznego musi nieuchronnie rosnać zapotrzebowanie na wszelaka, szeroko rozumiana działalność usługowa. To wszystko, co zwykliśmy nazywać usługami staje sie ważnym działem gospodarki narodowej. Ale klient, który tych usług poszukuje, który ma z nimi różne kłopoty, nie zawsze odnosi takie wrażenie. Klient czasem tęskni do małych warsztacików rzemieślniczych, w których szybko i sprawnie naprawianoby różne rzeczy. Czy klient ma racje? — pytam prezesa Łódzkiej Usługowej Spółdzielni Pracy, mgr inż. Sławomira Walczaka.

Klienta właściwie nie powinno obchodzić, w jaki sposób organizujemy nasza działalność. Klient chce mieć szybko i sprawnie zrealizowane swoje zamówienie. I to jest naszym celem. Do tego dążymy.

— Ale przecież tak jeszcze nie jest. Wiadomo, że trudno jest zreperować sprzet gospodarstwa domowego, bo nie ma części. Wiadomo, że u krawca trzeba długo czekać na uszycie ubrania, kostiumu, sukienki czy palta. Wiadomo, że z obsługa samochodów nie jest najlepiej. Klient wiec sie zastanawia, szuka wyjaśnienia. Pyta: a może byłoby lepiej gdyby było wiecej małych zakładów usługowych zamiast powiedzmy wielkich salonów?

Dalszy ciąg na str. 8

ŁÓDŹ

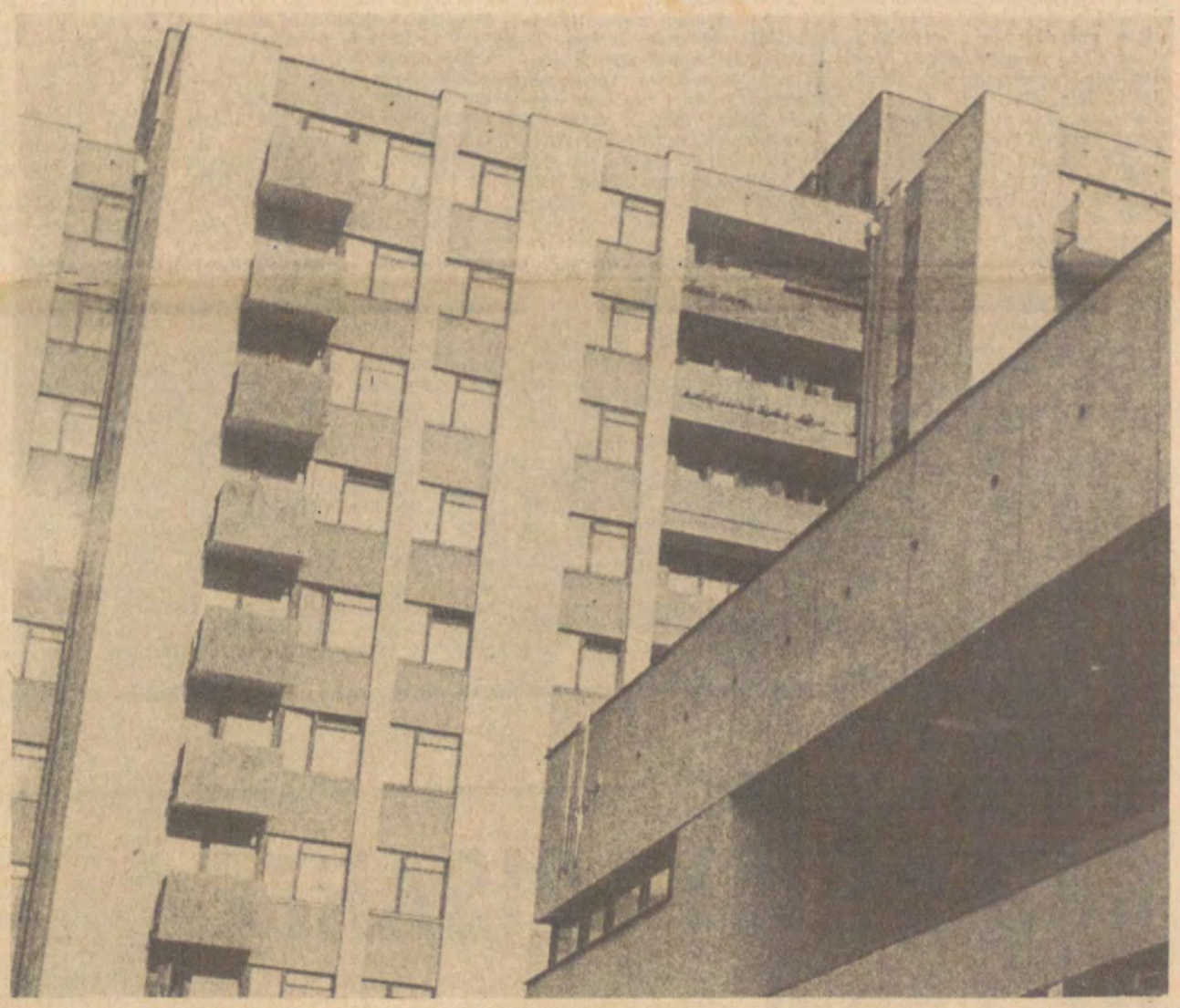

EWA OSTROWSKA

Widok z mego okna

„...Z mego okna na dziewiątym piętrze widok jest rozległy. Najładniej wieczorem, kiedy sie ściemni już zupełnie — i kiedy niebo już w gwiazdach. Bo wtedy jakby dwa nieba za moim oknem: jedno wysoko, wysoko, roziskrzone, ciche; i drugie nieco niżej, ale nie za wiele niżej; też roziskrzone, ale bardziej gwiezdnie, bardziej diamentowo — to światła okien wieżowców przy Tyburv, Letniej, Lutomierskiej, Wielkopolskiej, to neony Teofilowa, Żubardzia; i światła, wszędzie setki, tysiące świateł, świateł nieba i ziemi, nieba i miasta; i horyzont pulsuje, wibruje tymi światłami; i nie rozróżnisz już, które niebo jest niebem, a które miastem. Tak powiedziała pewnego wieczoru mama, i bardzo mi się spodobało to powiedzenie mamy.

Spoglądam wieczorem przez swoje okno na dziewiątym piętrze i widzę dwa nieba; i myślę sobie, że może ktoś też w tej chwili wygląda oknem i widzi światło mego okna na dziewiątym piętrze i myśli, że to nie światło, lecz gwiazda mruga. Pstrykam kontaktem, wygaszam i włączam światło; raz po raz; tak bardzo lubię spoglądać w gwiazdy. Miasto zdobywa teraz niebo, takie czasy, powiedziała niedawno do mnie mama. Z mego okna na dziewiątym piętrze widze te zaborcza agresywność: za Letnią potężne słupy kominów elektrociepłowni przecinają niebo jakby na pół; nie, poprawia mnie mama, te kominy wspierają niebo, to nie kominy, to ramiona współczesnego Atlasu, spójrz, jak uwspółcześnił się mit za twoim oknem. Wieczorem szczyt kominów jarzy się rubinowo, to punkty ostrzegawcze dla samolotów. A przecież samoloty lecą nad chmurami, jakże wysokie są te kominy — widać dopiero wieczorem; wieczorem, dopiero wieczorem za oknem miasto staje sie Atlasem. Bo w dzień — jeszcze dość często — dymy, dymy. Dymy robią horyzont niższym, widzę ich szary ocean; czasem to wygląda smutnie; ale w dnie słoneczne dymy różowieją od słońca. Mama mówi, że czas to niedaleki, kiedy dymy znikną na zawsze z pejzażu Łodzi.

Nie zawsze patrzę w niebo. Najczęściej patrzę w dół, na ulicę Sprawiedliwą. Bardzo ją lubię, tę ulicę; uliczkę raczej. Nie jest szeroka, i latem brzydko cuchnie, kiedy gorąco i mam w pokoju okno otwarte, aż tu, na dziewiąte piętro dolatuje odór Sprawiedliwej.

Często do rynsztoku przychodzą kaczki. Są szare, chociaż powinny być białe — szare od kurzu, ale im zapewne wydaje się, że biel ich piór jest olśniewająca; z jakąż kaczą powagą i dostojeństwem, jedna za drugą schodzą w rynsztok, i pływają,

Dalszy ciąg na str. 5

POLITYKA

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

MOLUKOWIE W HOLANDII

W poniedziałek, **23 maja 1977 roku** grupa uzbrojonych i zamaskowanych mężczyzn wdarła się do pociągu ekspresowego jadącego z Rotterdamu do Groningen i wzięła wszystkich pasażerów jako zakładników. Stało się to w miejscowości Zuidlaren na północy Holandii. W kilka minut później inna grupa terrorystów wdarła się do szkoły w miejscowości Bovensmilde, na przedmieściu Assen, biorąc jako zakładników 105 dzieci oraz 6 nauczycieli. Szkoła w Bovensmilde oddalona jest o około 20 km od Zuidlaren, gdzie znajduje się okupowany przez terrorystów pociąg.

Uprowadzenie pociągu w Holandii zdarzyło się już po raz drugi. W 1975 roku terroryści uprowadzili pociąg osobowy w Beilen. W tym samym czasie zaatakowano konsulat Indonezji w Amsterdamie. Natomiast w 1966 roku terroryści podpalili ambasadę Indonezji w Hadze, a stało się to w odwet za stracenie w Indonezji przywódcy południowych Moluków — Ventje Sooumokila. Terrorystami są bowiem młodzi południowi Molukowie, zamieszkujący od lat Holandię.

Skąd wzięli się Molukowie w Holandii i dlaczego ich tam pobyt stał się problemem politycznym? Dlaczego Molukowie, aby zwrócić na siebie uwagę opinii politycznej Holandii i świata, uciekli się do tak antyhumanitarnych sposobów walki?

Odpowiedzi na te pytania trzeba szukać jeszcze w czasach, kiedy wojska holenderskie przebywały w Indonezji, kiedy ją kolonizowały. Wtedy to bowiem Molukowie stali się najwierniejszymi sługami kolonizatorów. Różniąc się od innych narodów indonezyjskich tradycjami i zwyczajami, Molukowie skorzystali z „szansy" jaką była dla nich obecność kolonizatorów, aby jeszcze bardziej umocnić swą odrębność i przy pomocy Holendrów wynieść się ponad inne narody indonezyjskie. Przyjęli oni kalwinizm, w jego surowym, holenderskim wydaniu, pogłębiając tym przepaść, już i tak dzieląca ich od innych narodów, w większości muzułman.

Molukowie stali się trzonem holenderskiej armii kolonialnej. Byli wzorem lojalności. Przodowali w okrucieństwie, walcząc przeciw narodom indonezyjskim, które po drugiej wojnie światowej wznieciły ruch niepodległościowy. W 1946 roku Holandia uznała niepodległość Indonezji i wtedy wielu Moluków wolało wraz z wojskami holenderskimi udać się na emigrację niż pozostać w kraju.

Jednakże Holendrzy postąpili wobec Moluków zgodnie z prawdziwą naturą kolonistów. Dopóki Molukowie byli potrzebni, to łudzono ich nadzieją na własne, niezależne państwo na Wyspach Moluckich, dawano im przywileje, stopnie wojskowe, uznawano ich zasługi. Ale kiedy skończyło się kolonialne panowanie nad Indonezją, kiedy Molukowie przestali być potrzebni, ich wierność i lojalność stała się nagle ciężarem. Trzeba więc było zapomnieć o wszelkich obietnicach, zapomnieć w ogóle o tym, że byli kiedyś jacyś Molukowie. I Holendrzy tak właśnie postąpili.

Nim jeszcze moluccy emigranci wylądowali w kraju tulipanów już zostali pozbawieni dystynkcji wojskowych, zasług, przywilejów, kwalifikacji i wszystkiego tego, na co zasłużyli sobie wierną służbą kolonistom. Lądując w Holandii z miejsca znaleźli się w sytuacji pozbawionych wszelkich praw pariasów, skazanych na wyzysk i poniewierkę.

Nic więc dziwnego, że molucka społeczność, osiedlając się w północnej części Holandii, stała się społecznością odizolowaną, zamkniętą, nie poddającą się żadnym procesom integracyjnym. Liczy ona około 40 tysięcy osób, a większość z moluckich rodzin przybyła do Holandii w 1949 roku już po krótkotrwałym buncie, jaki wzniecili na Wyspach Moluckich, domagając się niepodległości. Bunt ten został stłumiony, a ruch wolnościowy Moluków jest zakazany i prześladowany w Indonezji.

Rozwija się ten ruch natomiast w Holandii. **W 1975 roku** Molukowie zorganizowali nawet spisek na życie królowej Holandii — Juliany. Molukowie wychodzą bowiem z założenia, że Holandia nie spełniła swojej obietnicy, nie zmusiła Indonezji do nadania niepodległości Wyspom Moluckim. **Po wydarzeniach 1975 roku,** a więc po uprowadzeniu pociągu osobowego w Beilen, kiedy to były ofiary w ludziach, po zamachu na konsulat indonezyjski w Amsterdamie i po przygotowywanym spisku na królową Julianę, powołana została komisja, w skład której weszło 5 holenderskich profesorów i 5 przedstawicieli społeczności moluckiej. Wspólne pertraktacje nie dały jednak żadnego rezultatu. Molukowie domagają się bowiem spełnienia swoich celów politycznych, a więc pomocy Holandii w uzyskaniu niepodległości dla Wysp Moluckich. Holendrzy oczywiście odmawiają, kierując swoją uwagę jedynie na rozwiązanie problemów społeczności moluckiej w ramach państwa holenderskiego.

31 maja 1977 roku moluccy terroryści, zajmujący szkołę w Bovensmilde, wysunęli propozycję powołania oficjalnego mediatora, z którym mogliby omówić swoje warunki. Poprzednio próbę mediacji podjął Theodore Kuhuwael, wywodzący się ze społeczności moluckiej, który spełnił rolę mediatora w 1975 roku, ale tym razem jego inicjatywa zakończyła się niepowodzeniem. Kiedy więc rząd holenderski zaczął zastanawiać się nad wyborem osoby mediatora, grupa „wolnej młodzieży molukańskiej" zwołała konferencję prasową, na której odczytano list do rządu holenderskiego, domagając się uznania przez władze Holandii „moluckiego rządu na wygnaniu" oraz zaostrzenia przez Holandię stosunków z Indonezją. „Wolna młodzież molukańska" grozi, że w przeciwnym wypadku może dojść do „gwałtownego końca". Spełnienie tych postulatów — stwierdzają autorzy listu — może dopiero otworzyć drogę do negocjacji o uwolnienie zakładników. Fakt ten postawił rząd premiera Joopa den Uyla w bardzo trudnej sytuacji.

27 maja 1975 roku terroryści, którzy opanowali szkołę w Bovensmilde, zdecydowali się wypuścić wszystkie dzieci i jednego nauczyciela. Uprzednio jeszcze zwolnili jednego zakładnika z pociągu. Dzieci zwolniono ze względu na to, że zapanowała wśród nich nieznana epidemia. Jak doniosła prasa francuska i belgijska epidemię tę wywołano sztucznie, chcąc ratować dzieci. Kiedy terroryści zgodzili się na przesłanie dzieciom żywności, za radą dwu psychologów — utrzymujących stałą łączność telefoniczną z terrorystami w szkole w Bovensmilde — D. Muldera i H. Havinga do kanapki włożono środek wywołujący bóle brzucha i torsje. Kiedy ze szkoły nadszedł sygnał, że jedna z dziewczynek zachorowała, psychologowie zasugerowali terrorystom konieczność przewiezienia jej do szpitala, na co ci zgodzili się. Następnie podano taki środek w pożywieniu pozostałym dzieciom, sugerując terrorystom wybuch epidemii. Wtedy ci zdecydowali się na zwolnienie dzieci. Władze holenderskie wprawdzie zaprzeczyły takiemu przedstawieniu tej historii, ale prasa francuska i belgijska obstaje przy swoim, sugerując nawet, że dla uwolnienia pozostałych zakładników władze holenderskie mogą zdobyć się na nowy podstęp. Teren, na którym stoi pociąg oraz szkoła, jest otoczony drutem kolczastym i strzeże go 700 żołnierzy. Do Holandii przyjechali też specjaliści z brytyjskiej „Special Air Service", przygotowani do walki z terrorystami. Ale rząd holenderski szuka takiego sposobu rozwiązania tego poroblemu, aby nie padły ofiary.

Moluccy terroryści, którzy opanowali pociąg i szkołę należą do Frontu Wyzwolenia Moluków Południowych i stanowią ekstremistyczne ugrupowanie. Ich czyn potępiony został przez zdecydowaną większość moluckiej społeczności. Samozwańczy prezydent „Republiki Południowo-Molukańskiej" — inż. Joop Manusama zdecydowanie odciął się od aktów terroru. Inny przywódca Moluków w Holandii, pastor Samuel Metiary, potępiając taki akt, zadeklarował swoją osobę, jako ewentualnego mediatora.

Termin dokonania aktu przez moluckich ekstremistów nie był jednakże przypadkowy. **25 maja 1977 roku** odbyły się w Holandii wybory parlamentarne. A napad na pociąg i szkołę dokonany został **23 maja 1977 roku.** Wybrano tę datę między innymi i dlatego, że w kampanii przedwyborczej nie padło ani jedno słowo na temat problemów nurtujących holenderskich Moluków. Postanowili oni więc zwrócić na siebie uwagę. Tak też się i stało, ale światowa opinia polityczna zdecydowanie potępia terroryzm, a odcina się też od niego większość społeczności moluckiej. Zdaniem komentatora Agencji Reutera Molukowie nie posunęli się w swoich dążeniach ani na krok. Przeciwnie, zyskali tylko niechęć i potępienie dla form swojej walki.

Potępienie należy się moluckim ekstremistom, ale w Holandii pojawiły się już głosy, że rząd Joopa den Uyla postępował z Molukami zbyt liberalnie, że obecnie należy podjąć akcję odwetową w stosunku do całej społeczności moluckiej. John Palmer na łamach brytyjskiego dziennika „The Guardian" wyraził nawet opinię, że terror Moluków w Holandii może nawet oznaczać „koniec tolerancyjnego społeczeństwa", a także wyraził obawę, że może to wpłynąć na popularność odrodzonej holenderskiej partii neonazistowskiej Volks Unie, która między innymi głosi hasło: „Nederjand — Blank", czyli „Holandia dla białych".

Rząd holenderski jest skłonny uznawać problem Moluków tylko na płaszczyźnie społecznej, wykluczając wszelkie aspekty polityczne.

— Dla młodego, trzeciego pokolenia południowych Moluków — powiedział Johnowi Palmerowi z „The Guardian" przedstawiciel partii liberalno-demokratycznej, Jan Glastra Van Loon — **ich ojczyzna może równie dobrze znajdować się na Księżycu. Ale są oni rozgoryczeni nie tylko z powodu bierności Holendrów w rozwiązywaniu ich problemów, ale także z powodu braku realnych dowodów istnienia poważnego ruchu niepodległościowego na południowych Molukach.**

A Indonezja? Indonezja — jak to stwierdził jeden z holenderskich polityków — „umyła ręce", uznając sprawę za wewnętrzną Holandii. Zadeklarowano wprawdzie pomoc, ale była to deklaracja enigmatyczna.

Poza żądaniami politycznymi terroryści z Frontu Wyzwolenia Moluków Południowych domagali się samolotu oraz zwolnienia Moluków, skazanych przez sądy holenderskie za poprzednie ataki terroru, aby razem udać się w nieokreślonym kierunku. Rząd Joopa den Uyla nie wykazuje jednak zamiaru przychylenia się do tego żądania, dążąc do takiego rozwiązania problemu, aby obyło się bez ofiar i aby ewentualnych rokowań nie prowadzić na płaszczyźnie politycznej. Bierze się jednak poważnie pod uwagę możliwość nieobliczalnych postępków któregoś z ogarniętego fanatyzmem terrorystów. Wojsko holenderskie otaczające pociąg i szkołę przygotowane jest na najgorsze.

Według doniesień z **6 czerwca 1977 roku** terroryści zwolnili dwie kobiety z 56 osób zatrzymanych w pociągu. Co dalej? Pytanie to zadaje sobie nie tylko światowa opinia polityczna. Można podejrzewać, że pytanie to coraz częściej zadają sobie sami terroryści. Ale jak nie potoczą się dalsze losy holenderskich zakładników nad światową polityką ciągle krąży widmo terroryzmu, który wprawdzie staje się coraz mniej skutecznym sposobem wymuszania politycznych decyzji, ale którego antyhumanitaryzm musi budzić wstręt i potępienie.

WIZYTY

RADZIECCY PISARZE W ŁODZI

Na początku czerwca gościła w naszym mieście z dwudniową wizytą delegacja pisarzy radzieckich.

Goście reprezentowali leningradzki oddział związku. Delegacja była nieliczna, zaledwie czteroosobowa, ale wszyscy twórcy, którzy się w niej znajdowali dobrze są znani polskim czytelnikom.

Wasilij Lebiediew, sekretarz oddziału leningradzkiego, jego twórczość niedawno prezentowaliśmy na łamach naszego pisma; **Eugeniusz Niewiakin** — ceniony tłumacz literatury polskiej; dr filozofii **Jurij Andriejew** — krytyk i eseista, oraz ulubiony autor młodzieży radzieckiej, redaktor naczelny miesięcznika dla młodzieży **„Kastior" — Światosław Sacharow.**

W pierwszym dniu pobytu delegację przyjął **sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR tow. Zbigniew Faliński.**

Program pobytu w Łodzi gości radzieckich był bardzo bogaty i różnorodny.

Spotkali się z robotnikami zwiedzając nowoczesne zakłady „Bistona".

Złożyli hołd ofiarom hitleryzmu w miejscu pamięci narodowej na **Radogoszczu.**

Szczególnie wiele jednak uwagi poświęcili życiu kultralnemu Łodzi. Z ogromnym zainteresowaniem obejrzeli najnowszą ekspozycję w **Muzeum Sztuki Współczesnej.** Zapoznali się z pracą **Wytwórni Filmów Fabularnych.** Obejrzeli wiele filmów i spektakli teatralnych.

Odbyło się także spotkanie ze środowiskiem literackim Łodzi. Było ono niezwykle interesujące i pożyteczne dla obu stron. Dyskutowano na temat najnowszych kierunków w literaturze światowej. Mówiło się o odbywającym się właśnie Światowym Forum Pisarzy, którego temat zawsze interesował i interesować będzie ciągle wszystkich ludzi świata. Pokój można zapewnić nie tylko poprzez równowagę sił, ale także — co jest ważniejsze stwierdzili goście — a co niewątpliwie winni czynić twórcy kultury, poprzez oddziaływanie na opinię publiczną.

Na zakończenie pobytu odbyło się spotkanie w Pałacu Przyjaźni z władzami TPPR i pisarzami.

Impreza była szczególnie udana.

Goście wysoko ocenili osiągnięcia kulturalne naszego miasta, z uznaniem wyrażali się o twórczości naszych łódzkich pisarzy i poetów, których utwory są często tłumaczone na język rosyjski.

Zachwyceni byli wysokim poziomem artystycznym oglądanych przedstawień teatralnych.

Dwa dni pobytu w dużym mieście to niewiele i twórcy radzieccy z konieczności ograniczyć musieli swoją chęć poznania Łodzi do elementów najistotniejszych. Ale miejmy nadzieję, że podobne wizyty będą się powtarzać i częściej gościć będziemy u nas bliskich nam przyjaciół z Kraju Rad.

SPROSTOWANIE

Z winy korekty w poprzednim numerze „Odgłosów" w recenzji Tadeusza Błażejewskiego znalazło się kilka rażących błędów. Zmieniono mianowicie imię Juliuszowi Słowackiemu, błędnie wydrukowano zwrot — podglebie literackie, itp.

W artykule Marii Kornatowskiej „Wszyscy ludzie prezydenta" na skutek nieuważnej adiustacji znalazło się nazwisko G. Forda zamiast R. Nixona, co wypaczyło sens dalszej części artykułu.

Za powstałe błędy przepraszamy Autorów i Czytelników.

INFORMACJE

W Łodzi powstał oddział ZAKR

W Łodzi doczekaliśmy się jeszcze jednego oddziału terenowego związku twórczego. Związku Autorów i Kompozytorów Utworów Rozrywkowych. ZAKR zrzesza tych literatów i kompozytorów, którzy zawodowo zajmują się twórczością dla teatrów (także muzycznych), estrady, radia, tv, itp. Pierwszym prezesem łódzkiego oddziału ZAKR został Henryk Debich — dyrygent popularnej orkiestry, kompozytor i aranżer. Wśród 17 członków naszego oddziału jest aż 13 kompozytorów. Członkami łódzkiej sekcji literackiej są: R. Gorzelski, P. Janczerski, C. Juszyński, i J. Panasewicz. Ta skromna ilość zawodowych piór pisząca dla teatru i estrady świadczy o tym, że wiele w tej dziedzinie jest jeszcze do zrobienia, bo łatwiej jest napisać dobrą powieść niż dobrą komedię, łatwiej napisać dobry wiersz niż dobry tekst do piosenki. Możemy się o tym przekonać czytając książki, prasę literacką, słuchając radia, czy oglądając przedstawienia w naszych teatrach.

Ponad sto przedstawień „ŁEZTERNU" w Bielsku

Komedia Romana Gorzelskiego i Feriduna Erola pt. „Łeztern" była grana w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej ponad sto razy. Dyrekcja teatru postarała się aby wszyscy, którzy chcą obejrzeć tę sztukę mogli dostać bilety. Ponad sto przedstawień dla Bielska — to swoisty rekord. Jak pamiętamy, w Łodzi „ŁEZTERN" był grany przez zespół teatru im. Jaracza „tylko" 250 razy. Dużo to i zarazem mało. Sztukę tę można było grać w naszym mieście jeszcze raz tyle, cóż kiedy... dyrekcja teatru im. Jaracza zdjęła ją przy pełnej widowni motywując tym, że musi wykonać plan... ilości premier. I chociaż od widzów nadeszły setki listów (także np. do „Głosu Robotniczego" m.in.) — tę popularną dziś komedię wznowiono jedynie na parę miesięcy. Ale to już historia. Z „Łezternem" do naszego miasta przyjeżdżają inne teatry terenowe. Sztuka ta w dalszym ciągu cieszy się wielkim powodzeniem. Jak się dowiadujemy — niebawem wystąpi z premierą „Łezternu" znany i ambitny teatr w Kaliszu.

Łodzianka nagrodzona w Madrycie

Na VI Międzynarodowym Biennale „Sport w sztukach pięknych" w Madrycie, łódzka artystka Ewa Tyc-Karpińska otrzymała drugą nagrodę i medal za pracę pt. „Pokaz gimnastyczny". Michałowi Gałkiewiczowi przyznano trzecią nagrodę za rzeźbę w marmurze „Sport".

„Daleko od szosy" — nagrodzony

Przyznano już doroczne nagrody przewodniczącego Komitetu do Spraw Radia i Telewizji za twórczość oraz działalność radiową i telewizyjną.

M. in. nagrodę I stopnia za seryjny film telewizyjny „Daleko od szosy" otrzymali: Zbigniew Chmielewski — reżyseria, Henryk Czarnecki — scenariusz i Mikołaj Sprudin — zdjęcia.

B. Poręba laureatem

Na zakończonym przed kilku dniami w Lublinie IV Międzynarodowym Forum Filmowym jedną z nagród otrzymał Bohdan Poręba za film pt. „Gdzie woda czysta i trawa zielona".

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

NIE TYLKO HISTORIA

W Łodzi odbyła się sesja naukowa na temat: „Hitlerowskie więzienie policyjne w Łodzi na Radogoszczu". Sesję zorganizowały: Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich, Obywatelski Komitet Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa oraz Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego.

Redakcja „Odgłosów" zwróciła się do wiceprzewodniczącego Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi, zastępcy prokuratora wojewódzkiego, mgr ANDRZEJA MODRO, z prośbą o rozmowę na temat celu sesji i prac OKBZH w Łodzi w badaniu funkcji więzienia policyjnego na Radogoszczu w systemie hitlerowskich instytucji eksterminacji.

— Panie Prokuratorze, jaki główny cel przyświecał sesji naukowej: „Hitlerowskie więzienie policyjne na Radogoszczu"?

— Spojrzenie na Radogoszcz w szerszym aspekcie — mówi Andrzej Modro — mianowicie jako na jedno z więzień policyjnych, które, podobnie, jak obozy zagłady i pracy, spełniało ważną rolę w polityce eksterminacyjnej okupanta. Następnie weryfikacja danych, zwłaszcza w zakresie liczby ofiar więzienia na Radogoszczu, przekazywanych przez literaturę przedmiotu, której baza źródłowa jest dość skromna. Poszerzono ją znacznie przedstawiając w referatach, wygłoszonych na sesji, zeznania około 300 świadków, co ukazało wiele spraw w zupełnie nowym świetle. Materiały naukowe, zaprezentowane na sesji, rozszerzają również nasze wiadomości na temat charakteru więzienia na Radogoszczu, początków jego powstawania, organizacji, celowo morderczych warunków, w jakich więźniów trzymano, oraz metod i rozmiaru zbrodni popełnianych na więźniach w tej hitlerowskiej katowni. Ponadto, na sesji przedstawiono zupełnie nowy problem dotychczas nie podejmowany, a mianowicie zaprezentowano wyniki badań lekarskich byłych więźniów Radogoszcza, które ustalają, w jakim stopniu pobyt w tym hitlerowskim więzieniu odbił się po latach na ich stanie zdrowia.

— Czy zechciałby Pan podać szczegóły na temat powstania tego hitlerowskiego więzienia w Łodzi?

— Dokładnej daty jego założenia nie udało się ustalić. Jest jednak pewne, że działało ono już w październiku 1939 roku, a jego powstanie wiąże się z masowymi aresztowaniami, jakich dokonali hitlerowcy na jesieni tegoż roku. Aresztowania objęły wówczas głównie inteligencję polską — nauczycieli, pracowników kultury, działaczy społecznych i politycznych oraz obywateli polskich narodowości żydowskiej, przede wszystkim kupców, właścicieli przedsiębiorstw przemysłowych i innych.

Aresztowań dokonywano głównie na terenie Łodzi, ale więziono także wiele osób zamieszkałych w Brzezinach, Konstantynowie, Aleksandrowie, Wieluniu, Zelowie, Zgierzu i innych okolicznych miejscowościach. W istniejących w owym czasie więzieniach w Łodzi nie można było pomieścić takiej masy aresztowanych, dlatego hitlerowski okupant uruchomił nowe więzienie, w którym można było więzić wszystkich aresztowanych.

Początkowo więzienie to zlokalizowano w byłej fabryce Michała Glazera przy ul. Krakowskiej. Było ono jednak pozbawione nawet elementarnych urządzeń. Więźniowie spali pokotem na podłogach — początkowo nie było nawet słomy — nie było żadnego systemu żywienia uwięzionych, brak było urządzeń sanitarnych, ubikacje — prymitywne latryny, zbudowano dopiero później i naprędce. Na przełomie 1939 — 1940 roku więzienie przeniesiono do pomieszczeń byłej fabryki Samuela Abbego, położonej u zbiegu ulic Zgierskiej i Sowińskiego, i tutaj znajdowało się ono do końca, to jest do wyzwolenia Łodzi. Więzienie na Radogoszczu wielokrotnie modyfikowano, zmieniając przeznaczenie jego poszczególnych pomieszczeń, jak np. izby chorych, izolatek itp. Najważniejsze jednak przeróbki, w więzieniu zmierzały przede wszystkim do uczynienia zeń miejsca maksymalnej izolacji więźniów, na czym policji hitlerowskiej szczególnie zależało. Zamurowano więc okna, podwyższono mury okalające więzienie, otoczono je dwoma rzędami drutów kolczastych, na murach zbudowano wieżyczki strażnicze. Wszystko to uczyniło z więzienia na Radogoszczu miejsce tak ścisłej izolacji, że ucieczka z niego była zupełnie niemożliwa.

— Czy śledztwo w sprawie zbrodni w więzieniu na Radogoszczu zostało już zakończone?

— Na pytanie to trudno odpowiedzieć jednoznacznie. Wynika to głównie z charakteru więzienia na Radogoszczu oraz z faktu, że działało ono bardzo długo. Przez Radogoszcz, który był tzw. więzieniem przejściowym, przeszło w okresie lat 1939 — 1945 około 30 tysięcy osób.

Już zarówno sama ta liczba, jak i ponad 5-letni okres istnienia więzienia dają wyobrażenie o ogromie pracy, jaka stanęła przed Okręgową Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi, kiedy w 1967 roku wszczęto śledztwo w sprawie zbrodni popełnionych przez hitlerowców na więźniach Radogoszcza.

W ciągu 10-letniego okresu śledztwa w tej sprawie zebrano ogromny materiał dowodowy. Składa się nań ponad 300 protokołów z przesłuchania świadków — byłych więźniów Radogoszcza, jak również członków ich rodzin, a przede wszystkim członków rodzin tych więźniów, którzy zginęli na Radogoszczu, 461 aktów zgonów więźniów zmarłych lub zamordowanych w więzieniu, bogata dokumentacja fotograficzna ilustrująca okres działalności więzienia, jak np. apele, wizytacje, zdjęcia zbiorowe załogi itp. oraz obszerny serwis zdjęć wykonanych w więzieniu natychmiast po wyzwoleniu Łodzi. Pozyskano także inne dokumenty, jak np. oryginalny raport — meldunek komendanta więzienia, złożony w prezydium policji niemieckiej w Łodzi o zastrzeleniu więźnia za rzekomy opór stawiany wachmanowi i szereg innych dowodów zbrodni hitlerowskich.

Wszystko to umożliwia dokładne odtworzenie całokształtu zagadnień dotyczących działania i funkcjonowania więzienia, ogromu zbrodni popełnionych przez hitlerowską załogę na więźniach Radogoszcza łącznie z masową likwidacją więźniów w nocy z 17 na 18 stycznia 1945 roku.

Oceniając ten materiał można powiedzieć, iż śledztwo w tej sprawie zostało w zasadzie zakończone. Nie można jednak wykluczyć, że z upływem czasu uda się jeszcze pozyskać inne, nie mniej ważne dowody zbrodni hitlerowskich na Radogoszczu. Chodzi głównie o archiwum więzienne, którego dotychczas nie udało się odznaleźć. Być może zostało ono zniszczone przed spaleniem więzienia, czy też wywiezione w czasie ucieczki hitlerowców z Łodzi. Nie muszę dodawać, jak bardzo ważnym wydarzeniem byłoby dla nas odnalezienie i pozyskanie tego archiwum. Pozwoliłoby ono na uzupełnienie już zebranych dowodów zbrodni hitlerowskich w więzieniu na Radogoszczu oraz utrwalenie ich w odpowiednim dokumencie.

— Z zeznań licznych świadków wynika, że warunki w więzieniu na Radogoszczu były gorsze niż w niejednym z hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Czy świadczy to, iż odgrywało ono jakąś specjalną rolę w systemie eksterminacji więźniów?

— Istotnie, zeznania większości świadków, relacjonujących warunki panujące w więzieniu na Radogoszczu, a głównie stosunek wachmanów do więźniów, wskazują jednoznacznie, że więzienie to było wyjątkowo okrutnym miejscem kaźni. Z zebranego obszernego materiału dowodowego wynika, że sytuacja więźniów na Radogoszczu była szczególnie tragiczna. Do sformułowania takiego wniosku upoważnia stwierdzona wyjątkowo daleko posunięta samowola załogi więzienia w traktowaniu uwięzionych, jak również zdecydowanie wrogi i okrutny stosunek hitlerowskich oprawców. Nie ograniczone, niczym nie skrępowane zbrodnicze i sadystyczne instynkty wachmanów znajdowały ujście w znęcaniu się nad więźniami na każdym kroku i przy każdej nadarzającej się okazji.

Więźniom na Radogoszczu śmierć zagrażała nieustannie, od momentu przekroczenia bramy więzienia, aż do opuszczenia jego murów. Znane są wypadki, gdy wachmani strzelali do więźniów już w momencie przywiezienia ich do więzienia, nim dokonano nawet formalności związanych z przyjęciem, jak również przypadki, kiedy pozbawiano więźniów życia tuż przed ich zwolnieniem. Panującą zasadą była grabież mienia więźniów, zabieranego im do tzw. depozytów, którego jednak nigdy nie odzyskiwali. Kiedy jeden ze zwalnianych więźniów dopominał się o wydanie mu jego depozytu, komendant więzienia, Peltzhausen zastrzelił go z rewolweru. Wymieniłem te przykłady, ilustrują one bowiem dobitnie to, o czym powiedziałem: zupełną samowolę, swobodę działania i dzikie wprost okrucieństwo, bez cienia litości, hitlerowskiej załogi więzienia na Radogoszczu.

Chciałbym podkreślić, iż z więzienia na Radogoszczu wywożono licznymi transportami więźniów do obozów koncentracyjnych i innych miejsc zagłady. Należy także przypomnieć, że więźniów Radogoszcza rozstrzeliwano podczas masowych egzekucji także poza terenem więzienia, jak np. podczas egzekucji zgierskiej 20 marca 1942 roku, egzekucji w Kielczygłowie, gdzie w akcji odwetowej powieszono publicznie dziesięciu więźniów Radogoszcza, że więźniów mordowano masowo w podłódzkich lasach: lućmierskim, wiączyńskim, tuszyńskim.

Wszystko wskazuje na to, iż więzienie w Radogoszczu miało stanowić wstępny etap na drodze więźnia do zagłady. Samo w sobie było już miejscem masowej zbrodni, a jako takie spełniało niewątpliwie określoną rolę w ogólnym, hitlerowskim systemie eksterminacji, podobnie zresztą, jak i inne tego rodzaju więzienia i obozy koncentracyjne.

— Czy na Radogoszczu więziono tylko Polaków?

— Nie, nie tylko Polaków, aczkolwiek na Radogoszczu więźniów narodowości polskiej było najwięcej. Oprócz Polaków więziono tutaj także obywateli polskich narodowości żydowskiej, jeńców radzieckich. Niemców.

— Aresztowanych tylko w Łodzi czy także spoza Łodzi?

— Więzienie na Radogoszczu było wprawdzie największym hitlerowskim więzieniem policyjnym w Łodzi, nie oznacza to jednak, iż więziono w nim tylko i wyłącznie mieszkańców Łodzi. Wspomniałem już, analizując przyczyny, które spowodowały powstanie w Łodzi tego więzienia, że już od pierwszych dni jego istnienia więziono w nim także Polaków z różnych miejscowości pozałódzkich. Sytuacja ta w następnych latach, w dalszym okresie istnienia więzienia, nie uległa zmianie. Wprost przeciwnie, ilość więźniów pochodzących z innych miejscowości Polski zwiększyła się bardzo znacznie. Więziono tutaj obywateli polskich z całego kraju, bowiem przejściowy charakter więzienia powodował, iż przywożono do niego transportami więźniów z różnych więzień hitlerowskich, rozsianych po całym terytorium okupowanej Polski.

— Czy możliwe jest uzyskanie pełnej informacji o rozmiarach zbrodni popełnionych w więzieniu na Radogoszczu?

— Nie. Uzyskanie pełnych danych o rozmiarach zbrodni popełnionych przez hitlerowców na więźniach w Radogoszczu jest niemożliwe głównie dlatego, że nie zachowała się dokumentacja — mam na myśli archiwum — więzienie, z której można by uzyskać dane o rozmiarach tych zbrodni oraz z racji ogromnej rotacji więźniów i wynikającego stąd faktu, iż w zasadzie więźniowie nie znali się między sobą, co uniemożliwia pełne zidentyfikowanie, jeśli już nie wszystkich, to przynajmniej większości więźniów zamordowanych zarówno na terenie więzienia, jak i poza jego murami. Wszelkie dane liczbowe są tu więc danymi wyłącznie szacunkowymi. Niemniej w oparciu o już posiadane informacje i dokumenty możemy dokonać próby oceny rozmiarów zbrodni, aczkolwiek nie należy tych uważać za ostateczne. Można jedynie przyjąć, że w egzekucjach dokonywanych na więźniach Radogoszcza poza więzieniem, w lasach podłódzkich, zginęło co najmniej tysiąc osób, a ponad 1.500 więźniów zamordowano podczas likwidacji więzienia, w nocy z dnia 17 na 18 stycznia 1945 roku. Nadal jednak jest otwarta sprawa oceny rozmiarów zbrodni, popełnionych na terenie samego więzienia oraz ilości osób które przeszły przez to więzienie. Liczba 30.000 osób, którą podałem już na początku naszej rozmowy, jest liczbą szacunkową najniższą, podobnie jak i liczby podane przed chwilą.

— Czy sprawców tych zbrodni udało się ująć, osądzić i ukarać?

— Po zakończeniu wojny odbyło się kilka procesów sądowych przeciwko sprawcom zbrodni na więźniach Radogoszcza. W 1947 roku został osądzony i skazany na karę śmierci komendant więzienia Walter Peltzhausen; wyrok wykonano w marcu 1948 roku. Ponadto spośród pozostałych funkcjonariuszy straży wiezienniej oraz funkcjonariuszy 31 batalionu policyjnego i 41 batalionu policyjnego, którzy brali udział w rozstrzeliwaniu więźniów Radogoszcza w podłódzkich lasach, sądy polskie skazały na długoletnie więzienia i kary śmierci kilkunastu przestępców hitlerowskich.

Jest to oczywiście dalece niepełna lista oprawców z więzienia na Radogoszczu, osądzonych i skazanych przez sądy polskie za zbrodnie popełnione na więźniach. Wielu z nich na pewno jeszcze żyje i przebywa na wolności w RFN, lub ukrywa się w innych krajach. Mając to na uwadze, w najbliższym czasie dalsze materiały dowodowe zebrane przez Okręgową Komisję BZH w Łodzi zostaną przekazane do Głównej Komisji BZH w Polsce z wnioskiem o przedłożenie ich organom ścigania w Republice Federalnej Niemiec. Żaden z żyjących jeszcze sprawców zbrodni na Radogoszczu nie powinien ujść zasłużonej karze.

— Panie Prokuratorze, czy dokonano naukowego, całościowego opracowania sprawy zbrodni hitlerowskich dokonanych w więzieniu na Radogoszczu?

— Jeszcze nie. Na sesję przygotowano kilka referatów w pełni udokumentowanych naukowo, które uzupełniły pewne luki w materiale dowodowym zbrodni hitlerowskich dokonanych w więzieniu na Radogoszczu. Uczyniono więc w tym przedmiocie duży krok do przodu. Nie mamy jednak jeszcze pełnego obrazu tych zbrodni. Brak przede wszystkim źródeł dokumentacyjnych, które hitlerowcy zniszczyli. Referenci ustalili z dokładnością jedynie dolne granice liczby ofiar zbrodniczej działalności okupanta w więzieniu policyjnym na Radogoszczu. Ile ofiar pochłonęło ono rzeczywiście, chyba nigdy się nie dowiemy.

Notował:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

RADOGOSZCZ

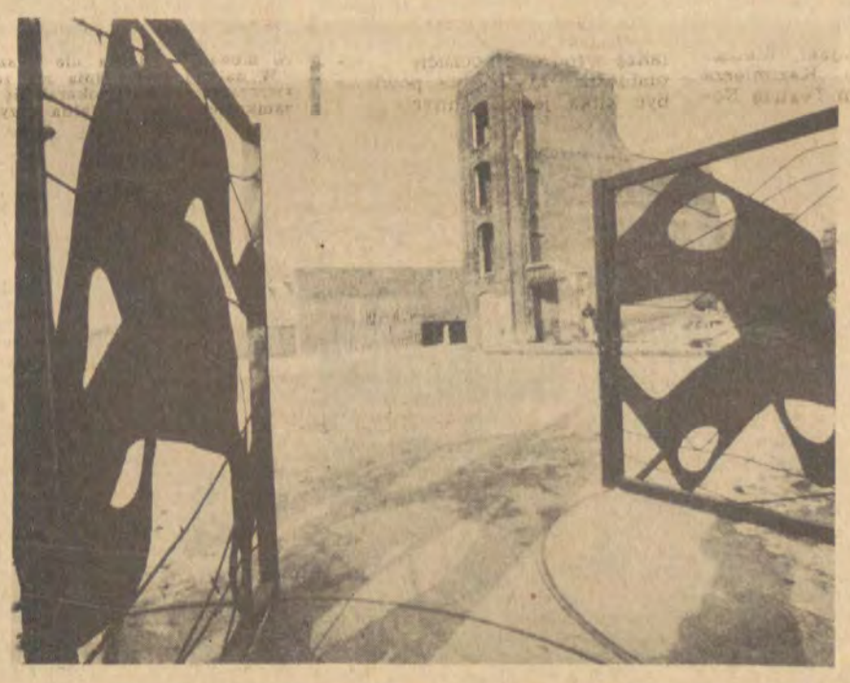

Foto: W. Parys

NA OBCYCH MAPACH

Drugi z kolei numer „Kwartalnika Historycznego" z bieżącego (1977) roku, przynosi nadzwyczaj ważną rozprawę Władysława Pałuckiego, zatytułowaną: **„Polska w niemieckiej powojennej kartografii historycznej"**. Zasługuje ona niewątpliwie na baczną uwagę nie tylko specjalistów od historycznej kartografii, ale i szerszego kręgu zainteresowanych czytelników. Idzie tu bowiem o sprawę niebagatelną, mianowicie o to, jak niemieckie atlasy historyczne, cieszące się od dziesięcioleci uznaniem w wielu krajach świata, przedstawiają sprawy naszego kraju. W. Pałucki zanalizował osiem tego rodzaju publikacji: jedną powstałą w NRD i siedem, pochodzących z RFN. Już na wstępie wypadło mu stwierdzić, że jedynie wydany w NRD dwuczęściowy **„Atlas zur Geschichte"**, stara się możliwie obiektywnie przedstawić rozwój stosunków polsko-niemieckich w dziejach. Tego samego jednak W. Pałucki nie mógł powiedzieć o atlasach historycznych RFN, których analiza nasunęła mu mnóstwo uwag krytycznych.

W tak delikatnej materii, jaką jest historia, różnice zdań pomiędzy środowiskami naukowymi różnych krajów są nieuniknione i nie można rościć pretensji np. do Francuzów, że w swych ujęciach historyczno-kartograficznych prezentują francuski, a nie np. angielski punkt widzenia. W krytyce zachodnioniemieckiej kartografii historycznej nie chodzi jednak tylko o to, że autorzy atlasów czy poszczególnych map z istniejących w naukowym obiegu koncepcji wybierają takie, które cieszą się uznaniem w ich kraju. Idzie o to, że zbyt często opowiadają się za poglądami już nie tyle przestarzałymi, co naukowo nie uzasadnionymi, nieraz otwarcie fałszywymi, a za to niezmiernie jaskrawie funkcjonalnymi... pod względem politycznym. W. Pałucki poddaje więc ostrej krytyce kartograficzne ujęcia zasięgu Germanów i Słowian w okresie wędrówek ludów wykazując, że nie odpowiadają one ustaleniom nauki, bardzo natomiast bliskie są szowinistycznym poglądom niektórych autorów niemieckich z czasów III Rzeszy. Bardzo znamienne są też deformacje, dotyczące chronologii politycznej przynależności Śląska w XII w., kontynuujące tradycyjne już poglądy dawnej historiografii niemieckiej, które jeszcze w 1919 r. były podstawą dla roszczeń politycznych Niemiec do całego Śląska. Niemniej charakterystyczne jest pomijanie lennej zależności Pomorza Zachodniego od Polski we wczesnym średniowieczu, przynależności do Polski księstwa słupskiego, przemilczenia i deformacje, związane z przedstawieniem prawno-politycznych stosunków między Polską a Prusami Królewskimi, Gdańskiem, Elblągiem i Toruniem w okresie od XV do XVIII w. i inne podobne ujęcia. Szczególnie uderza zaś przedstawienie tzw. kolonizacji niemieckiej na wschodzie.

„W arsenale antypolskich pomysłów mieści się często wykorzystywany przez historiografię RFN temat, zwany kolonizacją lub osadnictwem niemieckim na wschodzie" — powiada W. Pałucki. — **„Otóż i ten służący celom rewizjonistycznym temat został wprowadzony do wielu zachodnioniemieckich atlasów historycznych, przy czym na czoło tej kartograficznej akcji wysunął się atlas Putzgera".**

Atlas ten jest zaś szczególnie popularny: oprócz wydania niemieckiego, ma również wersję angielską i francuską.

Trudno streszczać tu dokładniej ważkie wywody polskiego uczonego. Zastanawiając się nad motywami takich właśnie, a nie innych ujęć kartograficzno-historycznych, popularyzowanych w RFN W. Pałucki zauważa, że można je odnaleźć na mapach, odnoszących się do historii najnowszej, ostatnich lat trzydziestu. **„Z wyjątkiem wydawnictw NRD, wszystkie wymienione w tym opracowaniu atlasy podają przedwojenną (z 1937 r.) granice państwową polsko-niemiecką, ponadto ziemie zachodnie i północne Polski, odzyskane w wyniku postanowień poczdamskich, oznaczone zostały innym kolorem lub barwną wstążką graficzną z objaśnieniem: „unter polnischer Verwaltung" lub „zur Zeit unter polnischer Verwaltung".**

Stwierdzenie to mówi samo za siebie.

Czy od podpisania między PRL i RFN w 1970 r. porozumienia dały się zauważyć jakieś zmiany w omawianych sprawach, w atlasach historycznych publikowanych w RFN? Polski uczony stwierdza, że są one doprawdy minimalne. Atlas historyczny Putzgera zmienił swoje ujęcie jedynie — jak powiada W. Pałucki — „o pół tonu". Cały obszar PRL oznaczono tu barwą żółtą, tyle, że kolor ten **„na ziemiach między Odrą — Nysą i granicą Polski z 1939 r. ma nieco jaśniejszy odcień"**. A na innych mapkach nasze ziemie zachodnie nadal są „czasowo pod polską administracją". Podobnie rzecz się ma z innymi omawianymi przez W. Pałuckiego wydawnictwami z RFN.

Na zakończenie zacytuje jeden z licznych przykładów, jakimi W. Pałucki opatrzył swoją rozprawę. Polski historyk wykroczył tu nieco poza zakres swych kartograficzno-historycznych rozważań. I miał do tego pełne prawo. Przeczytajmy:

„Przeszkody napotkane przy realizacji (...) Zaleceń komisyjnych strona niemiecka dotychczas tłumaczyła stosunkami wynikającymi z ustroju politycznego RFN, głównie tym, że kraje związkowe mają wolną rękę w wyborze metod i środków nauczania (podręczniki szkolne), a to samo tyczy się instytutów naukowo-badawczych i wydawnictw. Krótko mówiąc, obecny rząd RFN jest za przyjęciem Zaleceń, rządy krajowe — różnie, a jak z napływających wiadomości na ten temat wynika, owe Zalecenia przeważnie odrzucają. Jak jednak wytłumaczyć fakt, że w zamieszczonym w „Życiu Warszawy", nr 58 z 10. III. 1977 r. tekście (w fotokopii) oficjalnej agencji prasowej DPA, relacjonującym przebieg masowych wieców społeczeństwa polskiego oburzonego zapowiedzią wszczęcia postępowania sądowego w RFN przeciwko polskiej obsłudze obozu przejściowego w Łambinowicach na Śląsku, z 1945/1946 r., wymieniono nie tylko Lamsdorf zamiast Łambinowice, lecz także, wbrew przyjętej konwencji, nazwy miast polskich: Gdańska, Gdyni i Opola w formie zgermanizowanej — „Danzig, Gdingen und Oppeln"?

LEKTOR

Rubinowa Hortensja

Po raz trzynasty odbył się w Piotrkowie Trybunalskim Ogólnopolski Konkurs Literacki „Rubinowa Hortensja". W dziale poezji jury przyznało następujące nagrody i wyróżnienia.

Pierwsza nagrodę otrzymał CZESŁAW SOBKOWIAK z Wrocławia, drugą ZENON DUNAJCZYK z Pabianic, a trzecią KRZYSZTOF LISOWSKI z Krakowa. Wyróżnienie otrzymał MIROSŁAW KOŚCIEŃSKI ze Słupska a wyróżnienie za debiut — MARIA WIADEREK z Wrocławia.

W dziale prozy pierwszą nagrodę otrzymała ALICJA BARBARA SZTYKIEL z Łodzi, drugą nagrodę JERZY NAWROCKI z Rzeszowa a trzecią ZENON DUNAJCZYK z Pabianic.

Wyróżnienie otrzymał ponadto LUCJAN ZUZIA z Krakowa, a wyróżnienie za debiut JERZY KRZYSZTOF ORLEWSKI Z Katowic.

W dzisiejszym numerze „Odgłosów" publikujemy niektóre z nagrodzonych prac.

CZESŁAW SOBKOWIAK

IMIĘ

Cokolwiek czynisz jest ci policzone
To prawda żyjesz w epoce zamętu
Ale nie żyjesz bezkarnie
Niczego nie zdołasz ukryć
Przed lustrem w którym się toczy prawdziwa walka
Niczego nie zdołasz ukryć przed słońcem
Czas walczy z pozorem i ułudą
Chociażby żywi przyznali ci rację
Chociażby żywi uświęcili twoje zbrodnie
W nieświadomości prawdy
W zapomnieniu to jednak
Przyszłym pokoleniom
Świat złoży odrębną relację

KRZYSZTOF LISOWSKI

WYPOŻYCZALNIA

tylko na chwilę odsłania się brama
i jesteś wypożyczona na chwilę z ciemności
kto śnił że będzie świętym długie noce
i pisał listy do Boga na wiatr
ten będzie także wypożyczony dla zabicia
człowieka lub umycia szyby
ten dom wynajęty stoi na jeziorze
tu topił się ktoś i kaczki pływały
tam pod łopatą bije serce lasu
sarny odbicie ukryte w lustrze węgla
i słowa wypowiedziane zagubiły usta
wlokące się w marszu przez pustynię
która mieszkała w sąsiednim pokoju
a teraz stoją tu krzesła ciągną się dywany
i znajome zwierzęta mówią pożyczonymi głosami
rośnie przed nami teraz kilka dróg
są wymienialne deszcze pory roku
ogrody co dzień otwierać można innym kluczem
i śmiech jedynie albo płacz
jest do przyjęcia z gabinetu lęków

ZENON DUNAJCZYK

* * *

Gdy już tylko rutyna wiedzie nas do domu
A pod czaszką jak w studni prawie nic nie gada
I słowo się z niczego nam nie opowiada
Jesteśmy tak — jakbyśmy przyśnili się komu

Niby krew wciąż gorąca, ale już nie skleja
Niby droga ta sama, ale zadeptana
I choć jeszcze nad nami żywe wiatry wieją
To świadomość już w łapcie wygodne ubrana

Wystarcza to co w rękę wejdzie przyzwoicie
Co można schować w szafie, zawiesić na ścianie
Jakaś zwykła proteza udająca życie
I jeszcze cięty dowcip — to z nas samych śmianie

23.III.1977

MIROSŁAW KOŚCIEŃSKI

apoteozy część pierwsza

a ty wrócisz do dzieciństwa
potajemnie bawiąc się ołowianymi żołnierzami
w swoim prywatnym ogrodzie urządzisz
wielkie pole bitwy na wzór życiowych
niepowodzeń upadków z najdalszych kresów
dzieciństwa zrobisz głębokie okopy stawiając
na straży milczenie wyciągniesz z lamusa
pamięci zepsute zabawki przerabiając na
czołgi samoloty to będzie twój najważniejszy
poligon życia dzień w dzień przemarsz
na z góry upatrzone pozycje bo całe życie
było cofaniem do przodu i chciałbyś
choć raz dopiąć na ostatni guzik

ALICJA BARBARA SZTYKIEL

Kiedy zacznie padać

To niemożliwe żeby tak schudnąć — powiedziała leżąca na łóżku pod oknem i podała mi zdjęcie. Wyciągnęłam odruchowo rękę. Zupełnie nie wiem dlaczego to zrobiłam. Co mnie obchodzi jak wyglądała kiedyś ta nowa. Byłam zła na nią. Leżę tu już sześć tygodni i nie mogę doczekać się kiedy wymienią mi sprężyny, albo dadzą podgłówek. Nie lubię spać bez podgłówka. Akurat zwolniło się łóżko, a ja na tę chwilę czekałam tak długo, odliczałam dni, jakbym sama miała już wyjść z tego szpitala, a tu masz — siostra przyprowadziła tę nową i od razu usadowiła ją na wolnym miejscu. Przyjrzałam się jej uważnie. Miała najmniej 45 lat ale była tak chuda, że przez zażółconą skórę przeświecały żyły. Chciałam zaproponować zmianę, ale ta uśmiechnęła się do mnie tak dziwnie jakby przepraszająco. Nie miałam więc odwagi. I tak już zostało, ale poczułam wtedy, że ją nie polubię. Tak ogólnie to nie przeszkadza mi. Denerwujące jest tylko to, że bez przerwy robi na drutach. Nawet kiedy leżę odwrócona czuję za plecami jak jej chude palce nie ustają w pracy, jakby od skończenia tego swetra na zamówienie którego nikt nie czeka zależała czyjaś przyszłość.

To niemożliwe żeby tak schudnąć — powiedziałam i uświadomiłam sobie, że powtarzam zdanie już przez kogoś wypowiedziane przed chwilą.

Ważyłam wtedy osiemdziesiąt kilo powiedziała kobieta. To było rok temu. Pracowałam przez całe życie na przędzalni i nie miałam nawet jednego spóźnienia. A teraz nie ma wolnego miejsca w mojej książeczce zdrowia. Same zwolnienia. Nie wiem jak to dalej będzie wyglądać, ale chyba do emerytury nie dociągnę. A wszystko zaczęło się od bólu w sobie — po jedzeniu — dodała wyjaśniająco. Potem okazało się, że to są wrzody. Najpierw wycięli mi pół żołądka i nawet poczułam się lepiej, ale po sześciu miesiącach znowu zaczęły się bóle. To mi wtedy wycięli jeszcze pół z tej połowy. Teraz ważę czterdzieści kilogramów. O niech pani popatrzy jak mnie pokroili. Klęknęła na łóżku i podciągnęła koszulę. Niedługo święta, a nas chyba nie wypuszczą stąd — powiedziałam niepewnie i powoli odwróciłam się do ściany. Na ścianie jest plama jakby odprysk farby. Spod tego odprysku wyłania się warstwa tynku o porowatej powierzchni, której faktura przypomina zwiędłą skórkę cytryny. Odkryłam ją po dwu tygodniach pobytu w tym pokoju. Początkowo bardzo bolała mnie wątroba i mogłam leżeć tylko na lewym boku. Przed sobą miałam sąsiednie łóżko z chorą kobietą, która już wyszła do domu. Przyglądałam się jej twarzy. Kiedy mnie to zmęczyło kładłam się na wznak. W obrębie mojego wzroku były oszklone drzwi zazwyczaj ciągle otwarte. Ci, którzy byli tu już długo wprowadzili pewne obyczaje. Na przykład poobiednie spacery. Mogłam obliczyć długość korytarza znając wymiary ich kroków i czas w jakim pojawiali się obok drzwi. Za każdym razem rzucali spojrzenie jakby odkrywali nasze istnienie od nowa. Bardzo mnie irytowało, że w tym samym oddziale leżą mężczyźni paradujący bezwstydnie w piżamach. Ja też spacerowałam, ale tylko do toalety i z powrotem, ale kiedy dowiedziałam się, że leżą tu także chorzy na czerwonkę i zapalenie mózgu i inne paskudztwa prosiłam o basen. Kiedy poczułam się lepiej, mogłam zmieniać pozycje. Leżałam teraz na prawym boku i szukając oparcia dla oczu odkryłam wtedy tę plamę. Plama jest jedyną moją rozrywką. Przypomina mapę Polinezji. Leżę tak odwrócona plecami i wędruję przez morze. Moja krucha łódź targana jest przez fale i wiatr. Walczę odważnie z pogodą i rekinami, wreszcie szczęśliwie dopływam do Wysp Salomona, gdzie na brzegu dzicy śpiewają i tańczą obżerając się pieczoną w ognisku wieprzowiną.

Wiem, że kiedyś pojadę tam robić badania antropologiczne. Nie mam jeszcze sprecyzowanego planu pracy, ale obmyśliłam już strój: spodnie koloru khaki i bluza. Wysiadam z dżipa — przez ramię mam przerzuconą strzelbę...

Tam są chyba palmy i bez przerwy świeci słońce — przerwała mi kobieta. Widziałam te wyspy kiedyś w telewizji. Owszem powiedziała studentka leżąca na łóżku przy oknie, ale jak zacznie padać to pada i pada — też bez przerwy, a w ogóle to tam wcale nie jest tak pięknie jak sobie wyobrażasz, podobno Anglicy wybudowali hotele i korty tenisowe dla znudzonych bogatych turystów z zachodu. Rzuciłam jej spojrzenie, które gdyby była delikatnej psychicznej konstrukcji zabiło by ją. Ale trafiłam niecelnie, bo odgłos jaki wydała nie był wcale jękiem konania. Przepraszam powiedziała i rozprostowała szeleszczącą gazetę. Ja też trochę jeździłam, powiedziała nowa. Byłam w Ciechocinku i Zakopanem, i Krynicy Morskiej. To były wczasy rodzinne, ale już dosyć dawno zanim mój stary nie zapadł na stawy. Tak go pokrzywiło, że od lat leży. Kiedyś to był chłop... Miałam osiemnaście lat jak wyszłam za niego. On był wojskowym. Wtedy wydawało mi się, że nie ma piękniejszego mężczyzny. To chyba ten mundur tak mi oczy zamydlił. Żeby tak się zmienić:.. Jak nam się drugi syn urodził to sobie wmówił, że to nie jego dziecko i rozpił się — zaczął — zniżyła głos — zaczął się łajdaczyć z babami, na noc nie wracał nawet przez kilka dni. Teraz to on jest jak ta trusia, bo się ruszyć nie może. Kiedyś to mnie bił, że wstyd mi było w robocie się pokazać, ale teraz tylko jak się zezłości to rzuci laską we mnie, albo w chłopaka. Ale nic sobie z tego nie robimy. Kochania żadnego między nami nie ma i nie będzie.

Jak taki zły — powiedziała dziewczyna — to trzeba było odejść. Odejść — zdziwiła się kobieta. A dokąd z dwoma chłopakami na karku. Mieszkanie było jego. W gruncie rzeczy to mi go żal — ma za swoje, a baba taką głupia wybacza i czeka, czeka i wybacza — wszystko dla dzieci.

Irytowała mnie coraz bardziej. Słyszałam za plecami delikatny trzask drutu o drut. O już plecy gotowe powiedziała. A przód zrobię w paski.

Podali obiad. Odgłos rozlewanej zupy słychać było na końcu korytarza. Kobiety stały przed salą w zbitej grupie, niechlujne z opadającymi w bezładzie na ramiona przetłuszczonymi włosami w zbyt obszernych szlafrokach, przygarbione, postarzałe nad wiek z wyciągniętymi nad kotłem talerzami.

Zrobiło mi się niedobrze. Nie będę jadła — pomyślałam.

A ja zjem powiedziała nowa po troszku, ale zjem, szkoda żeby się zmarnowało. Kiedy się obudziłam nowa opowiadała z ożywieniem o świętach. Potem zobaczyła, że nie śpię. Podróżowanie jest piękne powiedziała — ale najważniejszy jest dom. Wszędzie dobrze jak mówią, ale u siebie najlepiej. Ja to przez całe życie marzyłam, żeby mieć piękny dom, nowe pachnące żywicą meble, a nie jakieś tam z trocin jak teraz robią. Najbardziej mi żal tego, że nie mam ładnych mebli. Jak sobie uskładałam zawsze znalazły się inne wydatki. To lekarstwa dla męża, to chłopakowi starszemu do wojska trzeba było posłać, to małemu kupić ubranie i książki do szkoły i tak się rozeszło.

To będzie ładny sweter powiedziałam — żeby skończyć te wynurzenia. Podoba się pani. Ucieszyła się. Muszę przerwać na chwilę, bo już mnie siły opadają. Nic mnie właściwie nie boli, tylko taka słaba jestem — ale nie oderwała się od roboty.

Ktoś zapukał w zakratowane okno. Wizyta. Do mnie nikt nie przyjdzie, pomyślałam. Lepiej im nie przeszkadzać. Podawali sobie przez okno jabłka, pomarańcze, wymieniali słoiki po zużytym kompocie. Wyszłam na korytarz na papierosa, a potem wzięłam kąpiel. Zważyłam się. Straciłam sześć kilogramów. Ucieszyło mnie to. Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło — pomyślałam. Nagle do łazienki weszła nowa. Nawet nie wiem czy mnie zauważyła. Usiadła na brzegu wanny. Co się pani stało? spytałam wkładając koszulę. Wyrzucił wszystko — powiedziała — garnki, talerze, słoiki, butelki po mleku, moje ubrania, nawet materac i pościel spalił. Boi się zarazić, kiedy się dowiedział że to żółtaczka, a dziecko przez papier podało mi słoik z konfiturami. Nawet chłopaka zbuntował przeciw mnie. Jak go chciałam pocałować — to się wyrwał i mówi, że musi już iść, bo mu ojciec kazał rozmawiać krótko i wracać żeby pomóc, bo sobie stary nie da rady przy obiedzie. Brzydzą się mnie. Wszyscy mnie potrzebują, ale nikt mnie nie kocha. Nigdy nikt mnie nie kochał. Pani jest taka miła, młodziutka — dotknęła mojego policzka. Niech pani nigdy nie wychodzi za mąż. Niech pani lepiej jedzie na te wyspy.

Wyprowadziłam ją do sali. Położyła się, potem zasnęła. Rano była cicha i nic nie mówiła. Po wizycie zabrali mnie na badania na dermatologię, bo dostałam jakiegoś uczulenia od lekarstw. Byłam tam trzy dni. Wreszcie wypisali mnie. Kiedy się ubrałam w garderobie podeszła do mnie siostra i wręczyła paczkę. Co to jest — spytałam i rozpakowując zawiniątko dodałam. Chcę się pożegnać z kobietami. Tam już są nowe pacjentki. Studentkę wypisano wczoraj, a tamta pani dzisiaj w nocy umarła. Prosiła, żeby to oddać, że przyda się jak zacznie padać tam, gdzie się pani wybiera.

W paczce zawiniętej w gazetę był sweter.

Secemińska ballada

Biegł długo między łubinem a żytem, drogą, która prowadziła do rozległego krajobrazu z dymiącymi kominami i hałdą świecącą w nocy jak łuna i słyszał głos syren fajrant obwieszczający. Połykał ślinę co w ustach się zbierała na samo wyobrażenie lepkiej miodowej bułeczki, którą mu dłonie popękane, smarem pobrudzone, podadzą w papierku wyciągniętym z kieszeni drelicha. Biegł szybko, ledwie dotykając rozpalonej rdzawej ziemi, z której wyrastały drucik poskręcane, szpulki od nici, metalowe kółeczka, dojrzewały guziki popękane i szkielka w słońcu migotliwe. Stopy miał bose, kolana odarte aż do krwi, nagle się potknął, ale nie przebudził, jak to bywa na granicy jawy i snu, tylko upadł w miedzę pełną kaczeńców, żabich oczek i muzyki trzmieli, które gniazdo gdzieś w pobliżu miały. Teraz dopiero rozpłakał się. Nie wiedział jak długo z twarzą przywarta do mokrej trawy leżał, aż go ręce jakieś dotknęły, a potem uniosły w górę. Otworzył oczy do cienia chłodnego, który mu słońce przysłonił i najpierw mgliście, potem całkiem jasno twarz kochaną, zatroskaną ujrzał i słodki zapach tytoniu go owionął.

— To ty dziadku? — To ja powiedział stary człowiek i przełożył pod pachę okrągły wypieczony chleb. Ile to już lat minęło? Może dwadzieścia, może mniej. Chwycił go za szyję, objął — do policzka szorstkiego policzek swój chłopięcy tuląc. — To ja Jędrusiu — powiedział. — Żyjesz? Żyję. Wtedy go mocniej obłapił. Przebacz, nie mogłem być na twoim pogrzebie. Wojsko miałem. Nie chcieli zwolnić. Ale tak lepiej. Po tysiąc razy przez te wszystkie lata wyobrażałem to sobie i bezskutecznie.

— Śmierci nie można sobie wyobrazić — powiedział dziadek. — Dla siebie zawsze pozostajemy żywi. Umrę dopiero dzisiaj, ale to jest bez znaczenia.

— To nie może być bez znaczenia! — krzyknął Andrzej. To nie było bez znaczenia — dodał. Skoro już było — to znaczy, że jest bez znaczenia — powtórzył spokojnie człowiek i uśmiechnął się i dotknął jego twarzy. Ale ty synku taki jesteś coś blady, wychudzony, skóra tylko i kości. To przez miłość dziadku. Przez miłość — powiadasz. A jak ją nazywają? Muszelka — dziadku. Muszelka, powiadasz. Ładnie. Tęga panna? Nie — tak smukła jak aniołowie z fresków naszego kościoła. E! To źle. Baba musi być taka, żeby było co w garść wziąć. Ale skoro tak miłujesz, to się żeń. Kiedy mnie tam nie chcą. Za moich czasów jak nie chcieli to się siłą brało. Byle posag miała. Ziemię ma? Nie, ale bardzo wykształcona, obrazy maluje. To już zupełnie źle. Chuda i bez ziemi. Pluń na to. Z malarstwa nie ma chleba. Najważniejsza jest ziemia. Ale to boli, dziadku — to tak bardzo boli. Gdzie boli? — spytał dziadek. O tu — Andrzej podniósł rękę do serca, i tu, dotknął czoła — wszędzie. Poboli, poboli i do wesela się zagoi. Zobacz, co ci przyniosłem. Sięgnął za pazuchę i wyjął ptaka. Masz. To kawka — powiedział. Jeszcze bardzo młoda. Czuł pieszczotę pazurków na swojej dłoni, uniósł wysoko i podrzucił: Biedroneczko, leć do nieba, przynieś mi kawałek chleba. Skrzydełkami pomachała, frunęła, zatoczyła łuk nad zbożem i spadła w żyto. Odleciała — powiedział. Tak będzie lepiej.

A potem był wieziony w taczce, między grabiami i szpadlem. Koło toczyło się zgrzytając na piasku. Przyklęknął na jej dnie, które podskakiwało na nierównościach. Wjechali w zagon truskawek. Kwitną — powiedział dziadek. Teraz dziadek był wiedziony przez Andrzeja. Jeszcze jak długo żyję, nie było takiej zimy. Niedługo będą kosić, a potem zaorzą ściernisko i zapomną. Przyjechali do domu. Dzisiaj umrę powiedział dziadek, przekraczając próg. To już jesteś — zawołała z kuchni ciotka. Jak zjesz obiad to narąbiesz drzewa i do spółdzielni też trzeba pójść. Ludzie żywność workami wykupują — powariowali — wojna mówią będzie, trzecia wojna światowa — jakby nie dość było tego zabijania.

Podała obiad. Dziadek przeżegnał się. Dzisiaj umrę — powiedział, sięgając po kromkę chleba. Na podwórku kura zagdakała. Andrzej rzucił łyżkę. Pójdę zobaczyć. Siedź i jedz. Potem zobaczysz, krzyknęła ciotka. Już się urodziło, takie małe i całkiem złote, ledwie się trzyma na nogach. Kurczęcia nie widziałeś. Tam na wsi u siebie napatrzysz się dobrze, aż ci bokiem wyjdzie.

Chłopiec wyniósł kurczątko. Ale to jest ciociu, niezwykłe. Tośmy z braciszkiem w stogu siana znaleźli skąd kura jarzębiata potajemnie zeszłej jesieni całe stadko kurczątek wyprowadziła. Wyrzućcie natychmiast! — wrzasnęła ciotka. Gotowe jakieś nieszczęście na dom sprowadzić. Nie złość się, kobito — powiedział dziadek. Jak jest — niech już zostanie. Wyszli do ogrodu. Dziadek przy pniu zaczął rąbać drzewo. Opowiedz coś dziadku — poprosił Andrzej.

— Jak miałem szesnaście lat, to już zacząłem pracę w hucie. Nie chcieli przyjąć, w kolejkach się wystawało, mówili, że zbyt młody, że to, że owo. Wreszcie przyjęli. Trzeba było wyjść z ziemi. Chociaż tam pod Seceminem majątek był piękny, ale ojciec gospodarować nie umieli. Z Żydami handlowali. Jeździli do odległych miast końmi — tak i gospodarka upadła. A kiedy matki brakło przyszła macocha. To nawet igłę z nitką przed dziewuchami chowała. Trzeba było wyjść z ziemi.

Rąbał drzewo i układał w stosy. Chciałbym tam kiedy pojechać. Ale tak jakoś schodzi. Tam takie piękne pola. Mówią, że tam było kiedyś morze, albo jaka inna duża woda. Nie wiem czy to prawda, ale ludzie czasem coś wyorali, a jak deszcz spadł, to się aż bieliło od skorupek.

Zapalił papierosa, którego skręcił z bibułki. Andrzej przyglądał się jak dziadek wypuszcza kółeczka z dymu, jak się unoszą nad jego głową, tworząc mandorle.

Potem dziadek zakaszlał. Andrzej widział jak się pogarbił, zmalał, pochylił ku ziemi, jak wyrasta mu broda, długie siwe włosy i paznokcie, jak wypuszcza z ramion łodyżki, jak się w drzewo zamienia, listkami pokrywa i kwieciem, jak te kwiaty owoc wydają w smaku podobne do rajskich jabłuszek, a on sam znowu coraz młodszy, dziecko prawie. Zgasił butem niedopałek papierosa. Nagle znowu wszystko stało się normalne.

Przemyślę to sobie jeszcze raz, a potem umrę — powiedział dziadek wbijając w pień siekierę. Naprawdę chcesz to zrobić — spytał Andrzej. Tak Tomaszku — już mi czas — teraz już czas. A przynieś mi coś stamtąd. Dziadek zamyślił się. A juści, Szczepanku, że przyniosę. Jakąś pamiątkę, dowód jakiś. Przyniosę Mateuszku. A teraz pomódl się za mnie Kaźmirku, do mojego patrona. Przynieś drzewo, Andrzej — zawołała ciotka. Trzeba dobrze napalić w piecu. Ciasto zaczynić na niedzielę. Matka twoja ze wsi przyjedzie do ciebie. Już się laba skończy.

Dzisiaj umrę — powiedział głośniej — tak żeby słyszała i mrugnął do Andrzeja. Ciotka jakby się zatrzymała w progu. Popatrzyła uważnie. Obiecuje tata i obiecuje, a jako co przyjdzie do czego, to wszystko na mojej głowie. Zniknęła w głębi kuchni. Wziął tyle drzewa, ile pozwoliły mu siły pięcioletniego chłopca i rzucił pod piec. Kot zeskoczył z sabatnika. Nagle pociemniało. O Jezusie kochany — wrzeszczała ciotka — jaka chmura, a jaśki wiszą na żerdzi. Leć synu i przynieś, bo całkiem zmoknie pierze. Andrzej wyszedł. Na dworze śnieg zasypał cały ogród i była biała cisza. Pod gołym krzakiem bzu na ławce leżał jakiś łachman pokryty lodem. To dziadek — pomyślał. Przespał jesień.

Podszedł do niego. Wstawaj dziadku — powiedział — czas do kościoła. Koszule trzeba prasować, buty czyścić, a szczotka gdzieś się zapodziała. Ale dziadek ani drgnął. Wtedy się Andrzej nad nim pochylił. Oniemiały długo twarzy się przyglądał. Potem dotknął ręki. Opadła. Do dłoni się przytulił. Od ciepła dłoń się rozwarła, a na dnie tej łódeczki, wzdłuż linii życia, coś zamigotało jak łza — muszelka, skorupka wyorana z Secemińskiego pola.

Foto: W. Parys

Widok z mego okna

Dalszy ciąg ze str. 1

zanim nie spłoszy je przejeżdżający samochód lub zanim nie przepędzi je na podwórko stara kobieta w błękitnej chustce. Znam tę starą kobietę dobrze. Zawsze chodzi w błękitnej chustce i błękitno-szarym fartuchu. Ma brązową twarz i brązowe ręce. Zagania swoje kaczki spokojnie; znika na krótką chwilę w bramie drewnianego domku, aby zaraz potem pojawić się w ogródku, pochylić nad grządką, wyrwać zielsko. Po południu często siada na małej ławeczce pod jabłonką, splata brązowe dłonie na kolanach i odpoczywa.

Na ulicy Sprawiedliwej przy każdym domu jest ogródek. A jeżeli nie ma ogródka, to przynajmniej mały klombik wprost przy chodniku. Niektóre klombiki są wielkości chustki do nosa, wprost nie do uwierzenia, że aż tyle różnorodnych kwiatów może rosnąć na tak małych skrawkach ziemi, odebranych chodnikowi. Ładne są te klombiki przed domkami ulicy Sprawiedliwej. Śliczne są ogródki, odgrodzone siatką albo drewnianym płotkiem. Jak gigant sterczy nad Sprawiedliwą nasz wieżowiec. O, właśnie widzę, fiat ostro hamuje, bo te kaczki chlapiące się w rynsztoku ani myślą ustąpić mu drogi. Za drewnianym płotkiem wzdłuż ulicy biega różowa świnka; gdaczą kury; słyszę codziennie rano, jak pieją koguty. Wieżowiec, a po drugiej stronie rząd niskich domków, malwy, jaśminy, grządki, kaczki, kury nawet świnka. Zaraz, parę metrów — ruchliwa Lutomierska; z drugiej strony również ruchliwa Limanowskiego, dziesięciopiętrowe wieżowce, a tu, pode mną, w dole inny świat. Dziwne. Skąd on się tu wziął, w jaki sposób ocalał? Przetrwał?

2.

Pisała to wypracowanie półtora roku temu. Dostała piątkę. Moja córka często dostaje piątki za wypracowania. Cieszę się z jej piątek. Chowam zeszyty. Ten również schowałam. Za rok, za dwa — myślałam wtedy — przeczytamy to wypracowanie na nowo, wspólnie. Za rok, za dwa — myślałam — to wypracowanie, jak zapis, jak źródło, jak dokument historii. Za rok, za dwa świat ulicy Sprawiedliwej zburzą buldożery, zepchną w przeszłość spychacze. To wypracowanie to jakby podzwonne dla Sprawiedliwej. Dla jej drewniaków, ogródków, kaczek, kobiety w błękitnej chustce.

Kobieta w błękitnej chustce ma na imię Józefa. Jest stara. Ma siedemdziesiąt pięć lat. Chłopczyk w czerwonej bluzeczce, rynsztokowy Magellan ulicy Sprawiedliwej, puszczający papierowe łódeczki, jest wnuczkiem Józefy. Mieszkają w drewniaku, przeznaczonym do rozbiórki.

3.

— Do rozbiórki — mówi Józefa. Patrzy na mnie bladoniebieskimi, wypłowiałymi oczami. I oczy jej nagle zachodzą łzami. Od słońca? — zastanawiam się. Bo słońce właśnie — nagle, ostre, gwałtownie rażące spada na nas, na mnie i na tę starą kobietę w błękitnej chustce.

— Do rozbiórki — powtarza Józefa. Płacze otwarcie. — **Całe moje życie** — dodaje. — **W tym drewniaku.**

Brązowa, pomarszczona twarz, okolona błękitną chustką. Brązowe, pomarszczone dłonie, zaciśnięte na błękitnym fartuchu. Jakże mocno zaciśnięte, z jaką siłą, widzę, jak błękitnieją na dłoniach Józefy żyłki, jak sinieją palce.

— Przeżyłam tu całe swoje życie. A teraz — do rozbiórki. A Jaśka się cieszy.

Jaśka, ostatnia córka Józefy. Najmłodsza. Ma czterdzieści lat; tlenione włosy prosto od fryzjera zaczesane w tapirowany kok. Pachnie fryzjerskim lakierem i wodą kolońską. Ściąga usta wymalowane sinoczerwoną pomadką w ostrą, wąską kreskę; mruży oczy, ale nie od słońca, mruży oczy z nienawiści — nienawiść jest w jej zaciśniętych ustach, zaciśniętych oczach.

— Nareszcie — mówi Jaśka, córka Józefy — **nareszcie, jak ludzie, nareszcie z tej zapleśniałej rudery, nareszcie bez rynsztoków, nareszcie z bieżącą wodą, łazienką, klozetem; nareszcie, nareszcie!** — krzyczy Jaśka, krzyczy prosto w płaczące oczy starej kobiety — **nareszcie! Jak ludzie! Trzy pokoje z kuchnią w blokach, wschód — zachód, sypialkę zrobię od zachodu, stołowy z telewizorem od wschodu, nareszcie, nareszcie** — powtarza Jaśka. — **Mój syn przestanie wreszcie śmierdzieć rynsztokiem, wyobrażać sobie, że ten rynsztok to rzeka, a ja przestanę zginać grzbiet nad balią, bo w tym drewniaku nawet instalacja zgniła, strach pralkę założyć. Trzy domy dalej sąsiadkę prąd zabił przy pralce. Czy ktoś to potrafi zrozumieć? Pojąć? Całe życie w tym drewniaku, tej ruderze, całe życie w tych zbutwiałych ścianach pełnych robactwa, w tych zapleśniałych od wilgoci ścianach? Nareszcie, do rozbiórki.**

4.

— Jego szczęście, że nie doczekał — mówi o mężu Józefa. — **On na ten dom każdą deseczkę na plecach, każdy kamień, wszystko sam, tak dorabialiśmy się, czy ktoś to zrozumie: dorabialiśmy się w nędzy; czy ktoś to zrozumie, tyle lat udręki, żeby sobie własny dom postawić? Żeby być na swoim? Mieć swoje ściany i swój dach? Więc jego szczęście, że nie doczekał. Umarł dwa lata temu. Na zapalenie płuc. Wiosną grządki w ogrodzie skopał, a mówiłam, nie zrzucaj kapoty, nie zrzucaj, takie pierwsze wiosenne ciepło zdradliwe, najgorsze, ale zawsze był uparty, od młodości taki, jak mnie przyszedł brać na swoją, płakać zaczęłam, nie płacz, powiedział, przysięgam, że na cudzym mieszkać nie będziesz, tylko we swoim, dom ci postawię, dwa pokoje, kuchnia, i ogródek będzie, i płot; tak powiedział, i słowa dotrzymał. Uparty a zawzięty. No i nie posłuchał, kapotę zrzucił, koszulę rozchełstał, a wieczorem już oczy od gorączki nieprzytomne, a chociaż malin mu dałam na poty, rano już rzęził. Posiej marchewkę akuratnie, truskawki opiel, grządki ci skopałem, to najważniejsze, czego ty płaczesz, jeszcze krzyczał na mnie. Zawsze nasz ogródek na całej Sprawiedliwej najładniejszy, u nikogo takie pomidory, ogórki, marchew nie urosły, ani tak bzy czy róże nie kwitły. A owoce jakie. Jakie jabłka, a śliwy, a grusze. Umierał, a o swoich jabłonkach, gruszach i śliwach mówił. Przysięgnij, że ich połamać Heńkowi nie dasz, przysięgnij. Bo Heniek jeszcze wtedy, dwa lata temu, tutaj mieszkał, zajmował pokój za kuchnią, piękny pokój, największy, może trochę wilgotny, bo od północy i okno małe, winem zarośnięte, ale piękny pokój, pomieścić się w nim całkiem wygodnie, ja w tym pokoju kiedyś dziesięcioro swoich dzieci układałem na noc i wszystkie się mieściły luźno, dziesięć w dużym pokoju, pięcioro w mniejszym, tym, co Jaśka z mężem i Jacusiem mieszkają. I nikt nie narzekał, miejsca starczało, i wino w oknie nie zawadzało. A Heniek w takim wielkim pokoju tylko w czwórkę: on, Zośka, jego żona, i dwoje dzieci — i źle im, i ciasno, i paskudnie. Ja wiem, że Heniek przez Zośkę tę winorośl zrąbał. Podpuszczała go i podpuszczała: zrąb, bo tu jak w piwnicy. Zrąb, bo dzieciak krzywicy dostanie. Zrąb, bo się duszę. Piętnaścioro swoich w tym domu wychowałam i żadne bez krzywicy, tylko czwarta Stefcia była felerna, głowę jej od urodzenia rozdęło, w balon; ale ona też krzywicy nie miała, gdzie by. No i Heniek wino wyrąbał. Żyło sobie to wino ponad trzydzieści lat, rosło aż na dach, a jakie piękne jesienią: fioletowoczerwone. Rosło, ptaki gniazda w nim wiły i nam pod oknem śpiewały. Piękne wino. Jak atłas. Musiałam męża za ręce trzymać i za kolana obejmować, żeby tą samą siekierką Heńka nie zarąbał. A potem, jak mu przeszło, koło kredensu w kuchni siadł, oczy zasłonił, płakał. I od tego czasu do Heńka ani słowa. Zawziął się. Jak powietrze był Heniek dla niego, albo jeszcze gorzej. Przeprosić się nie dał, nie mam syna, powiedział i tak już zostało. Umarł też przez swoją upartość, a umierając przysięgać mi kazał, że drzewka własnym ciałem przed Heńkiem ochronię. Przysięgnij, chrypiał. A teraz do rozbiórki. Dom rozbiorą, drzewka wyrąbią — nic to nie zostanie po nas. Nic.**

Miesiąc temu przyszli tu z urzędu i powiedzieli, że do rozbiórki, a nam dadzą za tę ruderę mieszkanie w blokach trzypokojowe, to płakać zaczęłam. Do rozbiórki, powiedzieli, cała Sprawiedliwa do rozbiórki pod wieżowce.

5.

— Nagle widzę — mówi Jaśka — **matka łapie się za gardło, sina cała, jakby ją kto dusił. Biegnę do matki, bluzkę chcę rozpiąć, a ona mnie nagle — z całej siły w twarz. Przy tych obcych — z całej siły, aż mi głowa odskoczyła. Potem matka zza stołu wstała, lustro przesłoniła czarnym welonem, i zatrzymała zegar na godzinie drugiej, bo właśnie była godzina druga po południu. Jakby jej ktoś umarł.**

6.

„Wprost nie do uwierzenia, że aż tyle różnorodnych kwiatów może wyrosnąć na tak małych skrawkach ziemi, odebranych chodnikowi. Ładne są te ogródki, te klombiki ulicy Sprawiedliwej. Zaraz, kilka metrów dalej — ruchliwa Lutomierska, z drugiej strony równie ruchliwa Limanowskiego, dziesięciopiętrowe wieżowce, a tu pode mną — w dole — inny świat. Skąd on tu się wziął? W jaki sposób ocalał? Przetrwał?"

Za rok, dwa — myślałam czytając wypracowanie córki, wypracowanie pod tytułem: **Widok z mego okna** — przeczytamy to wypracowanie raz jeszcze. Bo to zapis, dokument, za rok, dwa bowiem ulica Sprawiedliwa odejdzie w przeszłość. Patrzę przez okno na dziewiątym piętrze. Ogromne dźwigi budowlane, przedpotopowe dinozaury, wznoszą na ulicy Sprawiedliwej pierwszy wieżowiec.

Nie ma drewniaka Józefy. Rozpadł się jak pień zmurszały w środku. Przez kilka miesięcy — po rozbiórce — widywałam Józefę. Błękitną chustkę zamieniła na czarną — przychodzi na Sprawiedliwą i wystaje na skraju chodnika. Godzinami tak stoi, stara kobieta w żałobie. Przed nią wysoki parkan, otaczający teren budowy. I duża tablica: **„BUDOWA! OBCYM WSTĘP WZBRONIONY".**

EWA OSTROWSKA

PLASTYKA

KRUCHE JAK SZKŁO

Wystawa w Galerii Sztuki BWA przy ul. Wólczańskiej znacznie ustępuje słynnej ekspozycji „Złoto Peru" czy Biennale Plakatu. Ale tak samo jest w naszym mieście wyjątkowa, może nawet egzotyczna. Chodzi o **„Kłodzkie szkło artystyczne"**, wybór prac 5 twórców należących w tej dyscyplinie do ścisłej czołówki. Dowiedzieć się o tym można z katalogu, po czym uwierzyć na słowo. Projektowanie szkła kojarzy się ze Śląskiem, wrocławską PWSSP (gdzie można tę rzadką umiejętność studiować) i **Zbigniewem Horbowym**, znanym z telewizyjnego „Wszystko za wszystko". Twierdzę, że znajomość problemów szkła artystycznego w Polsce u tzw. przeciętnego widza poza ten wąski trójkąt nie wykracza. Wiadomo tylko, że szkło jest jednym z najpiękniejszych materiałów służących pożytkowi i ozdobie i że zdolny projektant potrafi wyczarować z płynnej, lśniącej materii szklanej prawdziwe cuda kruchości, delikatności, wdzięku proporcji i barwnych zestawień. Wiadomo też, że jeśli ten sam przeciętny widz zechce coś z tego nabyć — może to uczynić w DESIE lub wybrać się do specjalistycznych sklepów we Wrocławiu i Krakowie. Nie wiem, czy od razu zostanie usatysfakcjonowany, a na pewno nie w Łodzi. Dobre szkło artystyczne jest u nas niestety, równie rzadkie jak porządne szklanki — jego szare krewniaczki. One to właśnie w swej pospolitej masie tamują (poprzez zakleszczenie mocy produkcyjnych) rozwój ambitnego szkła na szerszą skalę. Z drugiej strony cisną się na taśmę różne menzurki, musztardówki i półliterki, jak wiadomo — również dla ludzi.

Na pytanie: gdzie to można kupić? widz nie znajdzie odpowiedzi. Nie zaspokoi również ciekawości z jakim właściwie rodzajem szkła ma do czynienia — unikatowym (jak sugeruje pokaz w galerii sztuki) czy bardziej masowym, co zdają się podpowiadać formy większości eksponatów. W tej dziedzinie sztuki nie bardzo wiadomo gdzie kończy się rękodzieło, praca artysty — projektanta, a gdzie wkracza technologia: ile w tym przypadku, a ile planowanego efektu. Inaczej: co to jest „szkło artystyczne": elitarne rzemiosło czy umiejętność przeprowadzenia realizacji własnego, ciekawego projektu. Jeden wspólny mianownik łączy większość eksponatów łódzkiej wystawy: z jakichś względów niemożliwe są do szerszej produkcji. Potencjalnemu klientowi muszą na razie wystarczyć szklanki, szare kuropatwy przemysłu szklarskiego, i podziwianie wystawowych rajskich ptaków. Co chwila ze wstępu do katalogu wystawy odzywa się nuta żalu, np. „Ta próba jak i inne poczynania (...) pozostawały bez wpływu na charakter seryjnej produkcji hut". Albo: „Także i w tym przypadku ograniczenia i rygory produkcji seryjnej zdominowały ambitne pierwotne plany". Przekonanie, że większość znakomitych projektów można by czy wręcz należy rozpowszechnić w dużo większych ilościach — wynika więc z mylącej nieświadomości. Kruche jak samo szkło muszą być ogniwa produkcji od planowania dystrybucji wyrobów szkła artystycznego...

Znani twórcy **Stefan Sadowski i Witold Turkiewicz** wystawiają prace ujawniające całą gamę możliwości indywidualnego kształtowania tworzywa szklanego, produkty alchemiczne, wiedzy i inwencji oraz perfekcyjnie opanowanej znajomości materiału. Mają one swoje odniesienie do rękodzielniczej tradycji artystycznego wyrobu, jaka odżyła w okresie secesji (choćby wyroby Gallé czy Tiffany).

Projekty znakomitości w dziedzinie szkła — Zbigniewa Horbowego i jego młodszych współpracowników Zygmunta Janoty i Ewy Gerczuk w większym stopniu kojarzące się z tym, co można by (teoretycznie) spotkać na stołach za stosunkowo niewielką opłatą. Szkło Horbowego i Janoty są najbardziej „klasyczne", proste i funkcjonalne. Ewa Gerczuk, młoda artystka z Polanicy proponuje bogaty zestaw dzbanków, karawek i kieliszków utrzymanych jakby w „młodzieżowym" charakterze, ale z barokową finezyjnością. Są to rzeczy znakomicie pasujące do ozdobniejszych, lecz tańszych kompletów meblowych „dla młodych małżeństw".

Obok czystej przyjemności, jaką sprawia oglądanie wystawy tych artystów (a jest to najwyższa nagroda) — należy im się parę ciepłych słów uznania. Jeśli kiedyś szkło w Polsce osiągnie jakiś przyzwoity poziom (w masowej skali), będzie to ich zasługa.

ANDRZEJ MAJER

MUZYKA

SEDNO KSZTAŁCENIA

Artystyczne umiejętności zdobywają latami. Dzięki zdolnościom, dyscyplinie codziennych ćwiczeń, podporządkowują sobie ulotne, lecz i oporne tworzywo dźwięku.

Szczególna jest w tym zawodzie rola warsztatu. Wymagania jego sprawiają, że nauka tak bardzo rozciąga się w czasie, że w takich specjalnościach, jak fortepian czy skrzypce, trwa aż lat 17. Warsztat to oczywiście nie tylko bezbłędna technika palcowa. To także w pełni ukształtowana świadómość muzyczna polegająca na analitycznym podejściu do struktury wykonywanego dzieła i syntetycznym ujęciu jego wewnętrznego sensu. Do świadomości tej młodzi instrumentaliści dochodzą w dużym stopniu poprzez grę zespołową.

„Dla solisty — stwierdza prof. Kiejstut Bacewicz — dysponującego w toku realizacji utworu jego pełnym kształtem dźwiękowym, elementy strukturalne i kompozycyjne są dostępne bezpośrednio, co rzutuje oczywiście i na proces odczytywania reprezentowanej przez te elementy treści wewnętrznej utworu. Członek zespołu, realizując w przeciwieństwie do solisty tylko jeden ze składowych kształtów dźwiękowych utworu, znajduje się stale w sytuacji stymulującej. Czynność współwykonawcy musi być z natury rzeczy ciągłym wybieganiem myślą i wyobraźnią ku współtworzonemu kształtowi, musi być ciągłym tego kształtu poszukiwaniem. Musi polegać na nieprzerwanym konfrontowaniu i koordynowaniu jego działania z działaniami partnerów. Konieczne jest przy tym dokonywanie tej konfrontacji i koordynacji jednocześnie z najrozmaitszych punktów widzenia muzycznego".

Muzykowanie zespołowe, przede wszystkim kameralne, jest w związku z powyższym jednym z zasadniczych, najbardziej skutecznych składników muzycznej edukacji. W wyższych szkołach muzycznych przykłada się dlatego coraz większą wagę do działalności katedr kameralistyki.

Profesor Bacewicz, długoletni rektor łódzkiej PWSM, przez kilkanaście lat kierował odnośną katedrą tejże uczelni. Była to w swoim czasie katedra wykonująca pod względem dydaktycznym pracę pionierską w skali polskiego szkolnictwa. Zaś jeden z przejawów jej aktywności stanowiła w roku 1961 inicjatywa organizowania w Łodzi międzyuczelnianych konkursów muzyki kameralnej.

Inicjatywa dała początek tradycji. Różnie profilowane pod względem tematycznym konkursy odbywają się co trzy lub cztery lata, ściągając do naszego miasta najzdolniejszych młodych muzyków. W bieżącym roku (11—14. V.), w szóstej już z kolei imprezie poświęconej tym razem kwartetom smyczkowym i triom fortepianowym L. van Beethovena oraz kompozytorów rosyjskich i radzieckich, wzięło udział 19 zespołów. Jak skonstatował przewodniczący jury — prof. Kiejstut Bacewicz — w owej „sztuce z kruszcu szczególnie wartościowego" wykazały one dobry poziom wykonawczy. Nie podajemy tu szczegółowych wyników konkursu, zrobiła to prasa codzienna. Przypomnijmy jedynie, że do grona laureatów weszły 3 zespoły z Łodzi, zdobywając w swych kategoriach trzecie nagrody.

Bieżący sezon określić wypadnie jako rok obfitości w dziedzinie konkursów muzycznych na lokalnym gruncie. Zasygnalizowana impreza dała okazję zarówno do posłuchania muzyki kameralnej, jak i do ewentualnego zastanowienia się nad rolą kameralistyki już nie tylko w kształceniu fachowym, lecz także w kształceniu powszechnego smaku artystycznego.

JANUSZ JANYST

ZDROWIE

Foto: W. Parys

POŃCZOCHY DLA CHORYCH

Dalszy ciąg ze str. 1

Niektórzy przysyłają nawet rysunki chorych kończyn wraz z wymiarami, jak to zrobił Leon C. z Gdańska, który także zapytuje czy: **„naprawdę Wasze zakłady nie produkują większych pończoch przeciw żylakom? Te, które tutaj można otrzymać to numer największy 14, są za wąskie. Nazwa ich jest jak najbardziej trafna, więc moim zdaniem powinny je nosić już dzieci. Natomiast lekarze przepisują je dopiero po operacji żylaków i to para na rok, a następne trzeba kupować w cenie 180 zł. Wydatek to niebagatelny, skoro pończochy takie wytrzymują jeden miesiąc".**

Inny korespondent Henryk J. z Warszawy zapytuje:
„od kogo to zależy by tego rodzaju pończochy produkowano bez zamkniętych palców i pięt?".

A oto fragment listu lekarza medycyny dr Edwarda K. z Bytomia:
„Między innymi środkami używam krótką (do kolan) pończochę elastyczną bez palców nr 12. Pończocha ta w ostatnim czasie uległa częściowemu zniszczeniu tak, że nie spełnia dobroczynnego dotąd dla mnie zadania. Moje usiłowania nabycia takiej pończochy są nieosiągalne w aptekach albowiem, jak mi oświadczono, nie są już produkowane..."

Pokonałem sporo kilometrów, przeprowadziłem kilka rozmów z ludźmi zajmującymi się tym zagadnieniem. Uzyskany obraz jest więcej niż smutny: z jednej strony armia ludzi cierpiących na schorzenia żylakowe, z drugiej — producent, dystrybutorzy, apteki, lekarze.

W ZAKŁADACH PRZEMYSŁU POŃCZOSZNICZEGO „ZENIT" w Łodzi przy ul. Sienkiewicza 82/84 zaaferowany dyrektor mgr **Ludwik Kaźmierczak** nie ukrywa troski, kiedy mówi o problemie ludzi cierpiących na żylaki. To właśnie tu, w **„ZENICIE"** zrodziła się idea produkcji pończoch leczniczych i profilaktycznych.

— Niestety, nie mamy satysfakcji z naszej produkcji, bowiem nie jest ona akceptowana przez odbiorców, a poza tym mam uzasadniony żal do siebie samego, że nie mogę pokonać bariery technicznej i surowcowej. Jednak wierzę, że sprawa zostanie w końcu załatwiona przez nasz resort, natomiast sprawy techniczne i technologiczne nie stanowią żadnego problemu. Dziwnym jest natomiast fakt, że nie posiadamy żadnych informacji, ani zainteresowania ze strony służby zdrowia. Bo tak na dobrą sprawę nie my jesteśmy bezpośrednio związani z ludźmi chorymi. Nie wiemy przeto, ile i jakich rodzajów pończochy mamy produkować.

„ZENIT" może obecnie na starych maszynach produkować bardzo małe rozmiary, gdyż te maszyny nie są przystosowane do wyrobów tego typu pończoch. Guma jest z talkiem i maszyny szybko ulegają niszczeniu. Brakuje też części zamiennych. Same pończochy nie mogą długo leżeć, guma „starzeje" się, staje się krucha i łamliwa.

WYDZIAŁ ZDROWIA I OPIEKI SPOŁECZNEJ Urzędu Miasta Łodzi. Pytam mgr **Irenę Częstkiewicz**, starszego inspektora wydziału, o dystrybucję pończoch przeciwżylakowych.

— Na terenie województwa miejskiego łódzkiego wytypowano jedną aptekę prowadzącą sprzedaż pończoch elastycznych. Jest to apteka nr 7 mieszcząca się przy ul. Głównej 5. Apteka zajmuje się sporządzaniem zamówień. Są to zamówienia miesięczne, które raz w miesiącu składa się do „Cefarmu". Zamówienia składa się w specjalnych księgach. Są tam rubryki dotyczące rozmiarów pończoch (wielkość, numeracja). „Cefarm" następnie składa zamówienie do Zjednoczenia Przedsiębiorstw Zaopatrzenia Farmaceutycznego „Cefarm" w Warszawie. Oczywiście, apteka zajmująca się rozprowadzaniem pończoch elastycznych, musi mieć ich zapas w granicach 3-miesięcznego zużycia. Jest to normatyw ustalony przez „Cefarm".

Apteka nr 7 przy ul. Głównej w Łodzi. Mówi kierownik placówki mgr **Halina Pawłowska:**

— Nasze zamówienia wpisujemy do książki „Książka podstawowa zamówień i dostaw towarowych" mająca podtytuł „opatrunki". Apteka wypełnia dwie takie książki, z których jedna zostaje w aptece, a druga wędruje do „Cefarmu" w Łodzi na ulicę Obrońców Stalingradu. W książce jest 24 rubryki dotyczące pończoch krajowych: numeracja od 4 do 14 z rozbiciem na krótkie i długie, z odkrytymi palcami krótkie i długie i tak przez wszystkie numery.

Pończoch krótkich z odkrytymi palcami w I kw. br. mimo zamówień apteka nie otrzymała. Natomiast krótkie z zakrytymi palcami były w pełnym wyborze. Gorzej, jeśli chodzi o pończochy długie z odkrytymi palcami: otrzymaliśmy jedynie rozmiar 8! Z importu nie otrzymaliśmy ani jednej pary, choć dotąd potrzeby były uzupełniane „Goldami", „Silberami" czy „Rubinami".

Kwartalnie apteka zamawia dla całego województwa około 1.800 par pończoch krajowych — otrzymuje z reguły 50 proc. zamówienia. W I kw. br. zabrakło 530 par pończoch krajowych.

Chory otrzymuje przydział takich pończoch raz na rok i fakt ten zostaje skrupulatnie odnotowany w książce ubezpieczeniowej. Natomiast pończochy krajowej produkcji wytrzymują raptem miesiąc i chorzy przychodzą z reklamacjami. Apteka z kolei reklamuje u producenta, tzn. w **ZPP „ZENIT"**. Pończochy są naprawdę nietrwałe: robią się bardzo szybko dziury, ich wykończenie także pozostawia wiele do życzenia. Często do apteki trafiają całe partie wyrobów wręcz wybrakowanych, z którymi nie wiadomo co począć. Np. w I kw. br. nadeszły pończochy wyprodukowane przez „Zenit" 22 maja 1975 r. Takie pończochy można od razu zakwestionować: nie dość, że posiadają wady, ale największy rozmiar to 14, akurat dla kobiety karzełka.

Para długich pończoch kosztuje 180 zł, krótkich 136 zł, a chory otrzymuje przydział raz w roku. Jeśli żywotność pończoch trwa jeden miesiąc, to w ciągu pozostałych jedenastu musi wydatkować chory człowiek poważną kwotę na zakup coraz to nowych pończoch. Co prawda apteka miesięcznie reklamuje 10—12 par pończoch, ale to nie znaczy, że pozostałe są dobre. Chorzy jakoś te pończochy cerują, kleją itp.

Nie tak dawno **ZPP „ZENIT"**, które są wyposażone w maszyny do produkcji normalnych wyrobów skarpetkowych rozpoczęły pionierską produkcję specjalistycznych pończoch leczniczych i profilaktycznych. Oczywiście ilość takich wyrobów z konieczności jest ograniczona, a ich jakość daleko odbiega od norm przyjętych przez RWPG. Ale początek został zrobiony, pończochy elastyczne są. Nasuwa się pytanie: **Co dalej?** Czy kontynuować dotychczasową produkcję i zbierać gromy za złą jakość, czy zaprzestać? Na te pytania usiłowałem otrzymać odpowiedź w **Centralnym Ośrodku Badawczo—Rozwojowym Przemysłu Dziewiarskiego w Łodzi** oraz w **ZPP „ZENIT"**.

— Dobrze, że ktoś chce o tym napisać — mówi dyr. ośrodka doc. dr inż. Karol Natkański. — **Właśnie usiłujemy sprawę pończoch leczniczych i profilaktycznych ostatecznie rozwiązać. Ale zacznijmy od początku. Kraj potrzebuje około 8 mln sztuk takich pończoch, bo tylu ludzi choruje na żylaki. Pończochy te obejmują kilkaset wyrobów. Obok tych klasycznych są jeszcze tzw. „kikuty" dla inwalidów, amputowanych. Ich produkcją zajmuje się przemysł dziewiarski w całym kraju.**

Centralny Ośrodek Badawczo-Rozwojowy i ZPP „Zenit" postanowiły wspólnie podjąć działanie w celu poprawy sytuacji w zaopatrzeniu w pończochy lecznicze i profilaktyczne. Zdobyliśmy normy, jakim te wyroby winny odpowiadać. Otrzymaliśmy je ze Związku Radzieckiego, bowiem ZSRR dysponuje materiałem statystycznym odnośnie ludzi cierpiących na żylaki z 50-letniego okresu naszego stulecia. Jest to poważny materiał naukowy. Mamy więc rozeznanie co do grup różniących się od siebie siłą nacisku (w udzie, podudziu, w kostce itp.). Chcę na marginesie zaznaczyć, że te wszystkie „Goldy", „Silbery" i „Rubiny" jakie importujemy wcale nie odpowiadają danym uzyskanym przez nas z RWPG. Zresztą te dane były także nowością nawet dla tak doświadczonego producenta pończoch elastycznych jakim jest NRD, a Niemcy posiadają przecież u siebie specjalistyczne zakłady produkujące wyroby lecznicze według określonych norm, metodą taśmową, a także wykonujące zamówienia na recepty indywidualne.

Ośrodek nasz wystąpił do Zjednoczenia Przemysłu Dziewiarskiego i Pończoszniczego ze specjalnym pismem, w którym proponuje powołanie przy ZPP „Zenit" w Łodzi wydzielonego oddziału produkcji wyrobów leczniczych.

W piśmie tym można przeczytać:

„Za propozycją rozszerzenia i zlokalizowania tej produkcji w ZPP „Zenit" przemawiają następujące czynniki: przedsiębiorstwo aktualnie jest jedynym producentem wyrobów leczniczych w kraju; posiada wieloletnie doświadczenie w zakresie wytwarzania pończoch i podkolanówek leczniczych; możliwość rozszerzenia produkcji o nowe asortymenty; ograniczenie importu (cena 1 pary pończoch z importu wynosi od 306 do 480 zł, natomiast pończochy produkcji krajowej 180 zł).

Negatywne wyniki badań stopnia ucisku w asortymencie pończoch są spowodowane nieprzystosowaniem parku maszynowego do produkcji tego typu wyrobów. Maszyny te posiadają ograniczone możliwości w zakresie uzyskania istotnych różnic, w zakresie ścisłości działania, co uniemożliwia wytwarzanie wymaganych rozmiarów.

Mając powyższe na uwadze Centralny Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Przemysłu Dziewiarskiego zgłosił propozycję zakupu dla ZPP „Zenit" szydełkarek pończoszniczych specjalistycznych z możliwością płynnej regulacji ścisłości działania np. f-my Lucas o Nu 18—22 o średnicach 4,5—5,5. W planach inwestycyjnych na r. 1977 uwzględniono zakup 8 sztuk maszyn specjalistycznych dla zakładów „Zenit".

Z uwagi na ważność omawianego problemu prowadzone są również badania w ramach prac Stałej Komisji Przemysłu Lekkiego RWPG w zakresie „Opracowania propozycji dotyczących współpracy w dziedzinie pończoch elastycznych o profilaktycznym i leczniczym przeznaczeniu" — temat 76.2.3., w których uczestniczą ZPP „Zenit" i COBRPD. Koordynatorem tematu jest ZSRR, który posiada największe doświadczenie w pracach badawczych nad zastosowaniem asortymentu wyrobów leczniczych.

Wymiana doświadczeń z innymi krajami potwierdza celowość zakupu maszyn specjalistycznych do produkcji omawianych wyrobów.

Propozycja zorganizowania wydzielonego oddziału w ZPP „Zenit" wiąże się z możliwością utworzenia w dalszym etapie Wydziału Artykułów Medycznych wyrobów leczniczych wytwarzanych technika działania o szerszym zakresie asortymentów.

Zainstalowanie 8 maszyn będzie wymagało wygospodarowania powierzchni o wielkości ok. 50 m kw. natomiast zorganizowanie wydziału, będzie wiązało się z wydzieleniem ok. 1.000 m kw. powierzchni".

Do powyższego pisma dyrektor zjednoczenia odniósł się przychylnie. Są już dyspozycje by poprzez pełnomocnika ministra do spraw lokali przemysłowych wyszukać na terenie Łodzi powierzchnię, na której mógłby taki wydział powstać.

Gorzej przedstawia się sprawa, jeśli chodzi o współpracę przemysłu ze służbą zdrowia. W maju 1973 r. odbyło się spotkanie komisji powołanej w wyniku uchwały Komisji Leków. W skład komisji weszli przedstawiciele Ośrodka Badawczo-Rozwojowego, klinik, Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, Instytutu Leków, Centrali „Cefarm" i ZPP „Zenit". Na tym spotkaniu Ośrodek Badawczo-Rozwojowy został zobowiązany do zajęcia się sprawą pończoch profilaktycznych i leczniczych, a także miano wytypować lekarzy do współpracy. W tymże roku Zjednoczenie Przemysłu Dziewiarskiego wystąpiło do określonych placówek służby zdrowia o wytypowanie lekarzy specjalistów. Niestety, minęły cztery lata, a zespół taki nie powstał: służba zdrowia nie zgłosiła kandydatów. A przecież uruchomienie nowego oddziału będzie wymagało współpracy i opinii służby zdrowia, przynajmniej w zakresie asortymentu. Bez tego całe przedsięwzięcie traci rację bytu.

Tak więc jest inicjatywa, są niezbędne dokumenty, są zaangażowani i chętni do pracy ludzie i są miliony cierpiących, oczekujących pomocy. Lecz ich głosy nie dochodzą gdzie trzeba, chyba, że ktoś przypadkiem napisze błagalny list do ZPP „Zenit" o przysłanie tak poszukiwanych, a niezbędnych przecież pończoch. Ale to mało.

EUGENIUSZ IWANICKI

JACEK INDELAK

DREZDEŃSKIE ABECADŁO

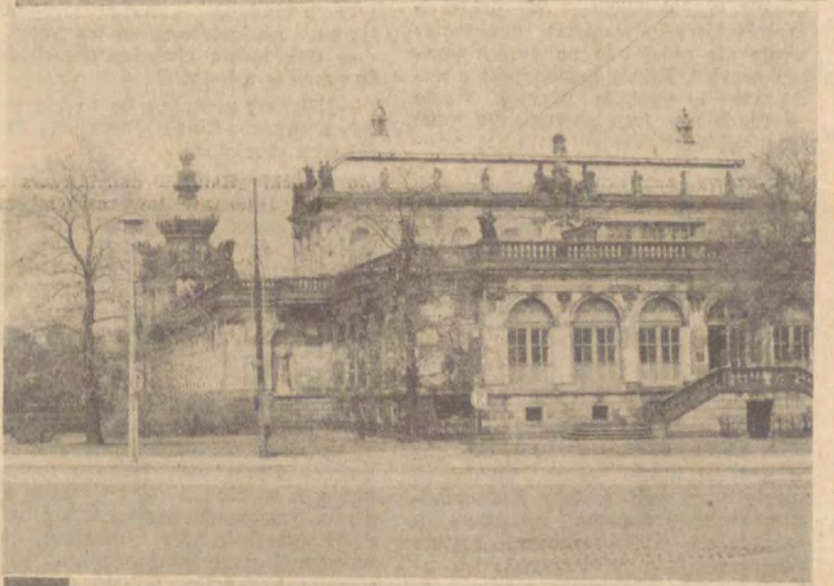

ALBERTINUM — drugie po Zwinkerze muzeum drezdeńskie (wejście od Tarasu Brühla), które mimo niewielkiej odległości od słynnej galerii, odwiedzane jest przez turystów bez porównania rzadziej, a szkoda, bo dysponuje ono nader cennymi zbiorami w Galerii Mistrzów Nowych (m. in. Rayski, Monet, Manet, Renoir, Degas, Gauguin, van Gogh, Matejko, Michałowski, Boznańska, Makowski). Galeii Rzeźb (m. in. Skopos, Tieck, Thorvaldsen, Drake, Rodin, Bourdelle, Meunier, de Fiori), Gabinecie Numizmatycznym (200 000 monet, medali, banknotów i pieczęci od starożytności po współczesność), a także słynnymi zbiorami „Zielonego Sklepienia", potocznie zwanymi skarbcem, a stanowiącymi imponującą kolekcję wyrobów rzeźbiarzy i artystów-rzemieślników, wykonanych głównie z kamieni i metali szlachetnych, a wśród nich — pochodzący z początków XVIII w. „Dwór w Delhi" ze 137 złotymi postaciami, kolorowo emaliowanymi, ozdobiony ponad 3000 diamentów, rubinów, szmaragdów i pereł, jak również wiele poloniców, wywiezionych z kraju przez saskich królów, m. in. złoty puchar królowej Jadwigi oraz wykonany ze złota, diamentów i rubinów „Orzeł Biały".

BRUHL Heinrich von — saski polityk, działający za panowania Augusta Mocnego i Augusta III, u boku którego od 1738 roku sprawował władzę w Polsce, dając się poznać jako wyjątkowy drań; pozostał po nim w Dreźnie słynny taras nad Łabą, nie opodal starego centrum.

COSEL Anna, hrabina — żona ministra saskiego i legendarna metresa Augusta Mocnego, na którego zlecenie architekt Pöppelman zbudował dla hrabiny Cosel Taschenbergpalais, po którym zostały ruiny, stanowiące przedłużenie ruin zamku drezdeńskiego „Residenzschloss", przylegających do Placu Teatralnego.

DOJAZD do Drezna został ostatnio nieco skomplikowany trwającą przebudową dróg za Budziszynem (Bautzen), do którego dojeżdżamy nadal ze Zgorzelca szosą nr 6, aby w Budziszynie, dobrze oznakowanym objazdem, wydostać się na tranzytową autostradę prowadzącą do Karl-Marx-Stadt, z której zjazd do Drezna nie jest najłatwiejszy, a to ze względu na trudny wybór właściwego kierunkowskazu, najlepiej więc skręcić w kierunku „Dresden-Meisen", skąd — dokładne i gęsto rozstawione — drogowskazy doprowadzą nas do śródmieścia (Zentrum).

FRAUENKIRCHE — ewangelicki kościół z XVIII wieku, którego ruiny przy Neumarkt (wciąż centrum lewobrzeżne) pozostać mają jako antywojenny symbol.

GALERIA Semperowska — zwana inaczej Galerią Mistrzów Dawnych — nie wymaga rekomendacji jako jeden z najsłynniejszych w świecie zbiorów malarstwa (m. in. Canaletto, Tintoretto, Rubens, Veronese, Tycjan, Giorgione, Rafael, Botticelli, Hals, Rembrandt, van Delft, van Eyck, Dürer, Holbeinowie, Cranachowie, Velazquez, El Greco, Watteau), a mieści się w budynku wzniesionym przez Sempera, który przylega do Zwingeru od strony Placu Teatralnego.

HISTORYCZNE Muzeum — urządzono we wschodnim skrzydle Galerii Semperowskiej, a wystawia (10 000 eksponatów) jeden z najciekawszych zbiorów broni oraz innych akcesoriów, związanych z wojną, polowaniami, paradami i turniejami: kusze, strzelby, pistolety, miecze, szpady, tarcze, kopie, noże, zbroje, szyszaki — kapiące od złota i drogich kamieni, wśród nich ornat koronacyjny Augusta Mocnego, średniowieczny miecz Gonzaga, miecze saskich elektorów, a nawet miecz Tomasza Müntzera, wykuty z kosy.

INFORMACJA turystyczna — w sprawie przejazdów, noclegów, żywienia, przewodników etc — Biuro Podróży NRD przy Ernst-Thälmann-Strasse 22 (główny deptak) oraz Dresden-Information na stronie wschodniej Prager-Strasse (przedłużenie Altmarkt, czyli znów samo centrum).

JAPOŃSKI Pałac — w prawobrzeżnej części miasta, p. Neustadt — kupiony w 1717 roku przez Augusta Mocnego od grafa Fleminga jest nader oryginalną czteroskrzydłową budowlą, której restauracja i odbudowa — po zniszczeniach w 1945 roku — dobiega końca; pałac służyć będzie jako Krajowe Muzeum Prehistorii i Państwowe Muzeum Etnograficzne, zawierające ponad 70 000 eksponatów z Afryki, Syberii i Azji Południowo-Wschodniej.

KRASZEWSKI Józef Ignacy — zagrożony aresztowaniem w 1863 roku przeniósł się do Drezna, gdzie mieszkał prawie dwadzieścia lat, z czego kilka lat w domu przy Nordstrasse 28, w którym staraniem naszego Ministerstwa Kultury i Sztuki — urządzone zostało muzeum pisarza.

MOSTY — w śródmiejskiej części miasta są trzy, centralnie położony najstarszy Most Dymitrowa, wielokrotnie rozbierany, niszczony, przebudowywany i odbudowywany, teraz również jest w przebudowie, na prawy brzeg Łaby przedostać się można więc albo położonym na lewo od tego mostu — Marienbrücke, albo położonym na prawo Mostem Rudolfa Friedrichsa.

NEUSTADT — czyli Nowe Miasto — stanowi integralną część zabytkowego centrum Drezna, które nie mniej — niż rejon lewobrzeżny — godne jest zwiedzenia (m. in. Pomnik Złotego Jeźdźca na Rynku Nowomiejskim, Muzeum Sztuki Ludowej w Dworze Myśliwskim, kamieniczki z XVIII wieku, czy wreszcie Pałac Japoński i Dom Kraszewskiego).

OBUWIE — jeden z artykułów, których wywóz z NRD jest zabroniony, a za którym namiętnie uganiają zagraniczni turyści.

PAŁACE leżące poza miastem są jedną z największych atrakcji Drezna, najsłynniejszy i najbliższy to zespół pałacowy w Pillnitz, do którego dostać się można za marne fenigi jednym ze statków łabskiej Białej Floty.

RESTAURACJE — tanie, przestronne, z dobrą obsługą; drezdeńczycy najbardziej szczycą się nowoczesną „Am Zwinger", która zgodnie z nazwą sąsiaduje z Zwingerem, bez porównania jednak ciekawsze są, położone w sąsiedztwie — na Altmarkt, „Haus Altmarkt" oraz „Café Prag", również śródmiejska „Sekundo genitur", która nazwę wzięła od starego pałacu, w którym się mieści, a do której się wchodzi od Tarasu Brühla; w końcu słynna „Włoska Gospoda" przy Placu Teatralnym z ogrodem i tarasem nad Łabą.

SKLEPY — generalnie mniejsze niż u nas, a nie mniej zatłoczone: największe skupisko w samym centrum, przy Altmarkt — dom towarowy „Centrum", salon mody „Honetta" i salon bielizny „Brigitt", dom obuwia „Gazelle", jubilerski, artykuły fotograficzne „Ilafot", przy Ernst — Thälmann — Strasse — domy mody „Chic" i „Triko", dom mody „Der Herr", dom futer „Polar", salon mody „Modell", sklep konfekcyjny „Wolli", obuwniczy „Meissterschuh", z galanterią skórzaną „Nappa", również przy tej ulicy — samoobsługowy salon płytowy; zakupy jednak lepiej robić w Neustadt (mniej turystów) na prawym brzegu, gdzie drugie centrum handlowe Drezna, mieści się w rejonie Otto — Buchwitz — Strasse, Strasse der Befreiung i Bautzener Strasse.

TURYŚCI zagraniczni — zwłaszcza z Polski — w 90 procentach patrzą: sklepy.

WYPOCZYNEK — najlepiej w pięknych parkach i ogrodach Drezna: Bürgerwiese, Grosser Garten z ZOO i Ogrodem Botanicznym czy wreszcie słynny dziki Dresdener Heide.

ZWINGER — symbol starego Drezna, które było ongiś stolicą kulturalną Niemiec, nie wymagający żadnych rekomendacji, dla przypomnienia tylko powiedzmy, że w jego pięknych XVIII-wiecznych pawilonach i galeriach, uformowanych w czworobok, umieszczono cenne zbiory porcelany — po stambulskich najbogatsze w świecie — oraz urządzono Salon Matematyczno-Fizyczny, Muzeum Zoologii i Salon Wyrobów Cynowych.

Zdjęcia autora

FILM

BEZKRESNY SMUTEK WŚRÓD ŁĄK

Dwa pierwsze filmy **Wojciecha Solarza „Molo"** (1968) i **„Wezwanie"** (1971) zapowiadały reżysera, któremu bliskie są poszukiwania formalne i problematyka psychologiczna. Filmy te budziły zainteresowanie innego zresztą typu aniżeli kolejna praca Solarza, czyli siedmioodcinkowy serial telewizyjny **„Wielka miłość Balzaka"**. Seriale mają to do siebie, że przy ich ocenach zacierają się nieco kryteria wartościowania, niemniej można rzec, że opowieść o pani Ewelinie Hańskiej na ogół podobała się. Gorzej już było z „Trzecia granica", przygodowo-wojenna konwencja filmowa, nawet w swym serialowym wydaniu, wyraźnie „nie wyszła" Wojciechowi Solarzowi.

Obecnie proponuje nam swój kolejny kinematograficzny film pt. **„Bezkresne łąki"**. Dla odmiany jest to próba komedii. Niestety, próba okrutnie nieudana. Doprawdy nie umiem sobie wytłumaczyć, co skłoniło reżysera do pracy nad tym filmem, fakt, że film zrealizował w oparciu o własny scenariusz. Jeszcze trudniej mi zrozumieć, dlaczego rzecz akceptowano na etapie scenariusza. Nic dobrego nie zapowiadał, a dotychczas ujawnione umiejętności i sam temperament twórczy Wojciecha Solarza też nie rokowały nadziei, że z papierowego tekstu wykrzesa się coś więcej. A szeleści w tym filmie wszystko.

A oto jego fabularny wątek. Pan po pięćdziesiątce, stateczny urzędnik, nieźle się finansowo mający, tknięty wspomnieniem dziecięcego romansu, znużony monotonią życia, ucieka od pracy i rodziny i nieco sfatygowanym, ale zawsze! volkswagenem rusza w kierunku krainy jezior, by odnaleźć czas swego dzieciństwa. Podstarzały buntownik wpada na trasie w ręce czwórki młodych ludzi, którzy korzystając z samochodu i pieniążków naszego bohatera, spędzają miłe kilka dni na tzw. łonie natury. „Starszy pan" dziwuje się nieco obyczajom młodych, ulega jednak urokom dwu reprezentantek płci pięknej i właściwie wszyscy są zadowoleni. Na koniec jednakże niegrzeczni młodzi płatają swemu dobroczyńcy brzydkiego figla, demaskując jego drobne łgarstwa i zawiadamiając szacowną rodzinkę, gdzie może zbuntowanego pana odnaleźć. Finita la comedia.

A co w środku? Ano nic. Pomysły, sytuacje, zachowania i reakcje najstarsze ze starych i literacko, i filmowo, i aktorsko. Żadnej niespodzianki, ani jednego świeżego dowcipu. Stereotypy wyobrażeń o tym, co ma być śmieszne, a co śmieszne nie jest, skoro wszystko można z góry przewidzieć. Stereotypy wyobrażeń o starym i młodym pokoleniu.

W tej ogólnej powodzi banałów trudno marzyć o odrobinie wdzięku i lekkości, która — jak sądzę — tkwiła w reżyserskim założeniu. Nic z tego jednak nie wyszło. Przytłoczony został nawet taki aktorski wyga, jak Wieńczysław Gliński, którego genre między innymi polega przecież na owym znakomitym dystansie wobec kreowanej postaci. Tym razem klops. Od czasu do czasu zaledwie przypomina nam ten aktor, co potrafi. I to najczęściej wówczas, gdy partneruje mu promiennie urocza Joanna Szczepkowska, której wdzięk i młodość prezentują jedyną w tym filmie siłę przebicia.

Że nasze lasy i jeziora są piękne, to wiemy, toteż radując oczy pejzażami zapisanymi kamerą Jerzego Łukaszewicza, debiutującego w pełnometrażowym filmie fabularnym, możemy jedynie wzdychać, by kanikuła najszybciej nam się zaczęła.

Możemy też wzdychać, że kino nasze nie obradza komediowymi talentami. A kilka tygodni temu, przy okazji czeskiego filmu „Na skraju lasu" Jirzego Menzla, mogliśmy powspominać, jak to wspaniale właśnie na przykład nasi południowi sąsiedzi, potrafią komediowo pokazywać marzenia mieszczuchów. Żal serce ściska, że przy okazji „Bezkresnych łąk" mamy znów do czynienia z dużym nieporozumieniem. Czy nie można jednak takim nieporozumieniom w porę zapobiegać?

EWA NURCZYŃSKA

PLASTYKA

Ex librisy Zbigniewa Janeczka

Ex libris jest znakiem książkowym i jego dzieje są prawie tak stare jak książka. Od lat zresztą ex libris przeżywa w Polsce i na świecie swój renesans. W Łodzi uprawia twórczość exlibrisową wielu artystów, wielu mamy głośnych zbieraczy (Janusz i Cecylia Duninowie, Michał Kuna, Andrzej W. Kempa, Grzegorz Matuszak, Zdzisław Konicki, Roman Kaczmarek, Anatol Gupieniec, Henryk Maszewski), wiele wystaw znaku książkowego oglądaliśmy dzięki inicjatywom łódzkich zbieraczy...

Ex librisy **Zbigniewa Janeczka** znam od wielu lat, tak zresztą jak i samego autora. Nie jest on grafikiem z wykształcenia, ale trudno w to uwierzyć oglądając jego prace.. Dwa lata temu Zbigniew Janeczek był swego rodzaju sensacją **Międzynarodowego Biennale Ex librisu Współczesnego** w Malborku. Otóż nikomu wówczas nieznany młody artysta z Łodzi dystansuje uznane sławy, otrzymując bardzo wysoką ocenę międzynarodowego jury. I rzeczywiście, twórczość graficzna Zbigniewa Janeczka jest jednym z najciekawszych zjawisk w dziedzinie artystycznego znaku książkowego w ostatnich latach.

Niedawno w Galerii Sztuki Współczesnej czyli w Salonie „Desy" otwarto wystawę ex librisów tego utalentowanego artysty. W katalogu tej ekspozycji Grzegorz Matuszak pisze: **„Janeczek w sposób bardzo szczęśliwy łączy w swej twórczości orginalną wyobraźnię i poetycką wrażliwość z dążeniem do precyzji i doskonałości technicznej, czego dowodem jest między innymi świadome ograniczanie przestrzeni oraz miniaturyzacja rycin. Ostatnie prace, w których autor odrzucając inskrypcje rezygnuje z konwencji ex librisu, zdają się potwierdzać, że pełen pomysłów i inwencji twórca ciągle poszukuje najlepszych możliwości wyrażania swego talentu".**

Poetycka wrażliwość — pisze Matuszak. Otóż to! Miniatury graficzne Zbigniewa Janeczka są niekiedy małymi poematami, wierszami wpisanymi w płaszczyznę ex librisu.

Rezygnuje Janeczek z tradycyjnych motywów książkowego znaku, miniaturyzuje lub odsuwa na margines inskrypcje... Jego miniatury działają nastrojem, klimatem, właśnie ową poetycką aurą, są graficznym zapisem poetyckiej metafory.

Ślimak wędrujący przez pustynię, pozostawiający za sobą ślady samochodowych opon. Korony polskich przydrożnych wierzb widziane jak gdyby przez powiększające szkło. Ręce Giocondy zamykające leonardowski pejzaż słynnego portretu, ale... bez portretu. Stara balustrada, księżyc, mgła i wyłaniające się z owej mgły same tylko dłonie z fujarką.. Niedopowiedziana metafora, aluzja A jednocześnie psychologiczny portret tego, któremu ex libris jest dedykowany...

Niestety, ani papier, na którym drukujemy „Odgłosy", ani technika poligraficzna nie pozwalają na reprodukcje precyzyjnych i poetyckich miedziorytów i akwafor Zbigniewa Janeczka. Ich piękno i precyzja zatarłyby się w niedoskonałej reprodukcji. Dlatego też możemy tylko czytelników „Odgłosów" gorąco zachęcić do odwiedzenia Salonu „Desy" — na pierwszym piętrze przy ul. Piotrkowskiej 113. Odnajdą tam piękny, urzekający świat — pełen zadumy, tęsknoty i ludzkich marzeń. Świat pełen poezji.

JERZY WILMAŃSKI

USŁUGI

Fot. Włodzimierz Parys

KTO SIĘ BOI RZEMIOSŁA?

Dalszy ciąg ze str. 1

— Problem jest nie w tym: duże, czy małe zakłady usługowe. Potrzebne są na przykład duże salony fryzjerskie i małe zakłady. Jedno nie przeszkadza drugiemu. W usługach przemysłowych warsztat naprawczy wcale nie musi być na tyłach punktu przyjęć. Klient ma kontakt z nami tylko w punkcie przyjęć. Gdzie naprawia się jego sprzęt, nie musi tego ani wiedzieć, ani tym się martwić. Dla jakości usługi znacznie korzystniej jest, kiedy taka naprawę robi się w dobrze wyposażonym warsztacie, nazwijmy go raczej bazą techniczną. W takiej bazie można też znacznie szybciej dokonać naprawy czy w ogóle wykonać nową rzecz zamówioną przez klienta. I my właśnie zmierzamy do tego, aby tworzyć takie bazy i rozszerzać sieć punktów przyjęć. Tym bardziej że powstały ku temu sprzyjające warunki.

— Na czym one polegają?

— Przeprowadzono reorganizację, w wyniku której szereg spółdzielni specjalistycznych zostało podporządkowanych krajowym związkom, a spółdzielnie wielobranżowe zostały skoncentrowane w wojewódzkich usługowych spółdzielniach pracy.

— Łódzka Usługowa Spółdzielnia Pracy jest właśnie jedną z nich?

— Tak. Tworzymy swego rodzaju kombinat z 9 oddziałami branżowymi. Na przykład Spółdzielnia Lekarska jest takim oddziałem. W naszych oddziałach pracuje od 300 do tysiąca osób. Dysponujemy 600 zakładami usługowymi. Czuwając nad całością usług w województwie możemy prowadzić właściwą politykę, dopasowywać strukturę zakładów usługowych do potrzeb społeczeństwa, koncentrować maszyny i urządzenia dla tworzenia właściwej bazy technicznej usług oraz lepiej gospodarować specjalistami.

— Ale przecież działają jeszcze agendy krajowych związków spółdzielczych. One wam nie podlegają.

— Wojewódzkie usługowe spółdzielnie pracy koordynują i programują całość działalności usługowej w województwach.

— Skoro nie w strukturze przyczyna słabości niektórych dziedzin usługowej działalności, to w czym?

— Powodów jest kilka.

— A który najistotniejszy?

— Wszystkie są istotne.

— Więc może je Pan wymieni.

— Niedostateczne zaopatrzenie w materiały i surowce. Brak odpowiednich maszyn. Niedostatek części zamiennych.

— O tym można się przekonać oddając jakikolwiek sprzęt do naprawy.

— Ale dzięki temu, że tworzymy bazę techniczną dla usług możemy sami pokrywać własną produkcją część występującego deficytu na części zamienne.

— Czy to już wszystkie powody?

— Nie. Jeszcze są dwa równie istotne. Pierwszy to brak specjalistów. Drugi — to niedostatek transportu. Na przykład, wystąpiliśmy o przydzielenie nam 21 pojazdów, a otrzymaliśmy dwa. A bez transportu nawet najlepiej zorganizowane przedsiębiorstwo usługowe będzie kulało. Trudno przecież dotrzymać terminu usługi, jeśli nie ma jak przewieźć na czas rzeczy oddanych do naprawy z punktu przyjęć do bazy technicznej i znów do punktu przyjęć. A to tylko jedna z trudności, z jakimi borykamy się przy niedostatecznym transporcie.

— Czy ludzie chętnie przychodzą do pracy w usługach?

— Niezbyt chętnie, bo to nie jest łatwa praca. Ciągle brakuje nam różnych specjalistów.

— Jak można temu zaradzić?

— Liczymy na młodzież. Nawiązaliśmy kontakt ze szkołami. Powstaje w Łodzi szkoła rzemiosł. Chcemy, aby specjaliści przygotowywani do pracy w usługach posiadali kilka pokrewnych zawodów. Chodzi nam o rozszerzenie umiejętności zawodowych przede wszystkim u młodzieży, aby nie była przygotowana zbyt wąsko. Zależy nam na tym dlatego, że w usługach występuje sezonowość. W pewnych okresach występuje zapotrzebowanie na jednego rodzaju prace, a w innych — na innego rodzaju. Pracownicy przygotowani bardziej wszechstronnie mogliby się wzajemnie uzupełniać, pomagać sobie niejako, stwarzając wyższą podaż na sezonowe usługi.

— Ale to chyba i tak nie rozwiąże wszystkich problemów kadrowych?

— Oczywiście. Mamy na przykład dostateczną ilość fryzjerów, a brakuje nam krawców, brakuje też specjalistów od wyposażania mieszkań. A właśnie na te usługi, krawieckie i związane z wyposażaniem wnętrz mieszkań jest największe zapotrzebowanie. I te usługi chcemy i musimy rozwijać.

— W jaki sposób?

— Sposobów musimy szukać różnych. Chociażby poprzez uprzemysłowienie, poprzez szycie odzieży, która dopasowujemy do konkretnego klienta. Uprzemysłowienie stosujemy też w innych dziedzinach usług.

— Ale klient może mieć indywidualne wymagania. Na przykład chciałby uszyć sobie coś z własnego materiału. I miewa z tym kłopoty.

— Wiemy o tym. W ogóle wiemy, jaka jest opinia o naszej pracy. Nie zawsze jednakże wina leży tylko po naszej stronie. W tym konkretnym przypadku tak mamy ustawione planowanie, że rozlicza się zakłady krawieckie nie tylko pod względem ilości wykonanej pracy, ale i przerobionego materiału. A wiadomo, że materiał jest drogi i dlatego korzystniejsze jest szycie z materiału spółdzielni niż z materiału klienta. Wystąpiliśmy jednak do władz nadrzędnych z postulatem zmienienia obowiązującej obecnie zasady.

Staramy się, aby indywidualne życzenia klientów były spełniane w miarę naszych możliwości. Posiadamy wielu znakomitych fachowców, ale mamy również ludzi źle pracujących. Zresztą będziemy dążyli do wyeliminowania ich.

— W jaki sposób?

— Zrywamy z anonimowością pracy. Wprowadzamy karty indywidualne, swego rodzaju gwarancje wykonanej pracy. Obecnie wszelkie niechlujstwo, brakoróbstwo, idzie na karb spółdzielni. Chcemy, aby klient wiedział, kto do niego przychodzi, kto mu świadczy usługę i dzięki temu wiadomo będzie również kto zrobił dobrze, a kto źle. Jakość usług jest nasza największa troska i chcemy stale ją podnosić. Indywidualne karty, zerwanie z anonimowością pozwoli nam też wyeliminować tych wszystkich, którzy pracują źle.

— Najlepszy specjalista też niewiele sobie poradzi, jeśli nie będzie miał materiałów i odpowiednich narzędzi. A z tym przecież też jest nie najlepiej.

— Nowoczesna działalność usługowa zależy od nowoczesnego i wysoce sprawnego sprzętu. To oczywiste. Wiele maszyn trzeba importować, a wiadomo, że to nie jest sprawa dziś taka łatwa. Ale my mamy kłopoty z najprostszymi urządzeniami, bez których nie możemy nadążać za modą. W zakładach fryzjerskich brak nam na przykład suszarek ze szczotkami. Potrzeba ich gdzieś 300—400 sztuk. Nie mamy takiej ilości.

Notujemy ogromny popyt na usługi fotograficzne. Ludzie jeżdżą po świecie, po kraju i robią kolorowe zdjęcia. Przynoszą do obróbki. Nie posiadamy niezbędnych środków chemicznych, a krajowe nie są jeszcze dobrej jakości. Nawiązaliśmy nawet kontakt z producentem chemikalii fotograficznych w Bydgoszczy i robimy dla niego próby, aby przyśpieszyć osiągnięcie pożądanej jakości.

Chwytamy się różnych sposobów...

Mamy sporo kłopotów z krajowymi tapetami, które są nietrwałe, nierówno wybarwione, mają różne odcienie. Klienci reklamują. Podobnie sytuacja wygląda z glazurą. A zapotrzebowanie na tego typu usługi jest ogromne.

— Prowadzicie badania popytu?

— Wprowadziliśmy marketing. Nawiązaliśmy współpracę z Uniwersytetem Łódzkim i przy jego pomocy prowadzimy badania nad jakością usług i nad zapotrzebowaniem. Spotykamy się z samorządami mieszkańców i bardzo sobie te spotkania cenimy, gdyż samorządy mają rozeznanie, co do potrzeb usługowych na ich terenie. Bardzo nam to pomaga.

Staramy się rozwijać usługi nie tylko pod względem ilościowym to znaczy nie tylko tworzyć nowe punkty, ale też występować z nowymi propozycjami jakościowymi. Na przykład proponujemy klientom wiele przedmiotów w stylu „retro": klamki do drzwi, lustra, żyrandole...

— Nie bez znaczenia jest wszakże ilościowy rozwój punktów usługowych, szczególnie w nowych osiedlach.

— Nie tylko w nowych osiedlach. Na terenie województwa — poza Łodzią — też. Tu jest bardzo dużo do zrobienia. Nawiązaliśmy też porozumienie z budownictwem, aby zamiast baraków dla budowlanych, stawiać pawilony, zgodnie z przewidywanym programem usługowym w danym osiedlu i aby takie pomieszczenia można było zajmować zaraz po wyjściu budowlanych.

— Mimo przedstawienia sporej listy trudności i przeszkód, jest Pan optymistą?

— Gdybym nim nie był, to nie pracowałbym w usługach. Trudności nie powinny nas przerażać, są bowiem do pokonywania. Natomiast poprawę działalności usługowej widzę w tym, żeby pełniej wykorzystać to wszystko, co już posiadamy i co w najbliższym czasie otrzymamy. To jest podstawowy warunek naszego powodzenia.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Fot. Włodzimierz Parys

U PRZYJACIÓŁ

Niesłabnącym powodzeniem, mimo, że właśnie w maju minął rok od pierwszego przedstawienia, cieszy się inscenizacja opowiadań Wasyla Szukszyna „Rozmowy przy jasnym księżycu", zrealizowana przez jedną z najznakomitszych scen Moskwy — Państwowy Akademicki Teatr Mały.

Przeniesienia na scenę krótkich utworów Szukszyna podjął się znany i ceniony reżyser Witalij Iwanow jeszcze za życia autora, który bywał nawet obecny na pierwszych próbach.

Z nim też uzgadniano kształt projektowanego przedstawienia.

Wprawdzie akcja opracowanego i wyreżyserowanego przez W. Iwanowa spektaklu uwzględnia w ostatecznym wariancie scenicznym tylko siedem „rozmów-wydarzeń". W scenariuszu wykorzystano bohaterów i niektóre wątki z około 20 opowiadań W. Szukszyna.

Reżyser pragnął bowiem przedstawić możliwie najbardziej wszechstronny obraz szukszynowskich postaci.

Choć akcja tych krótkich utworów dzieje się w różnych miejscowościach — na scenie rozgrywa się ona na Ałtaju, w pobliżu Czujskiego Traktu, którym dzień i noc suną olbrzymie ciężarówki. Wystarczy jednak trochę tylko z niego zboczyć, by trafić do wsi drzemiącej w głuchej ciszy.

Autorom spektaklu nie chodziło o zachowanie topograficznego podobieństwa i tamtejszych realiów. Pokazali oni swoisty, odrębny świat składający się z różnych ludzkich egzystencji, świat zwykłego człowieka, oglądany przenikliwym wzokiem artysty.

Reżyser wciąga widza w nastrojową rozmowę, która rozpoczyna się na ucichającej w wieczornych zmierzchach wiejskiej ulicy po zakończeniu pracowitego dnia.

Dekoracja sceny skomponowana została z maksymalną prostotą: szeroka wiejska ulica z płotami, domy. Na plan pierwszy wysuwają się aktorzy, którzy często w jednym epizodzie muszą pokazać dzieje ludzkiego życia.

W wieloosobowej obsadzie znaleźli się mistrzowie Teatru Małego: W. Choriakow, S. Maruszew, I. Libiecznow, N. Ryżow, S. Fadiejewa, W. Obuchowa.

W przedstawieniu premierowym grała zmarła niedawno nestorka tej sceny, J. Szatrowa, laureatka nagrody państwowej.

Aktorzy unikają jaskrawych barw. W ich wykonaniu „Rozmowy" są wyciszone, intymne, pełne szarości kończącego się zwykłego dnia. Romantyka i proza życia przeplatają się z satyrą, fantastyka i absurdem, tworząc obraz szukszynowskiego świata — poetyckiego, ale jednocześnie realnego i niczym nie ubarwionego.

Krytyka radziecka uznała jednogłośnie przedstawienie za kolejny sukces działającego już od 153 lat Teatru Małego.

O powodzeniu sztuki świadczy nieustannie zapełniona do ostatniego miejsca widownia.

* * *

Widzowie, uczestniczący w plebiscycie ogłoszonym przez tygodnik „Sowietskij ekran", przyznali miano najlepszego aktora 1976 r. Andriejowi Miagkowowi za rolę w filmie Eldara Riazanowa „Życzenia noworoczne".

W tej lirycznej komedii o ludziach, którzy spotkali się w noc noworoczną, Miagkow zadziwił możliwościami warsztatowymi, naturalnością w odtwarzaniu rysunku psychologicznego kreowanej postaci.

Wybór widzów nie sprawił niespodzianki krytyce, która już dawno zaliczyła Miagkowa do grona najbardziej utalentowanych aktorów Moskwy. Grał on już w przeszło 20 filmach role historyczne i współczesne.

Miagkow to artysta u którego talent idzie w parze z pracowitością.

Po ukończeniu szkoły średniej — zgodnie z wolą rodziców — techników z wykształcenia i profesji — wstąpił do instytutu chemiczno-technologicznego. Jednak miłość do teatru zwyciężyła i dyplomowany inżynier znowu zasiadł na uczniowskiej ławie, tym razem już w studiu przy Moskiewskim Teatrze Artystycznym.

Od trzynastu już lat Miagkow gra w teatrze „Sowremiennik", gdzie często obsadzany jest w utworach klasycznych, m.in. w sztukach Czechowa i Gorkiego.

Za najlepsze jego osiągnięcie w tym repertuarze uznano rolę Aloszy w ekranizacji „Braci Karamazow" Dostojewskiego.

Ostatni rok był szczególnie pomyślny dla A. Miagkowa — grał w trzech filmach. „Ten aktor może zagrać wszystko i zawsze będzie prawdziwy. Zawsze zaznaczy swoją osobowość" — powiedział o nim reżyser Eldar Riazanow, który po zakończeniu zdjęć do „Życzeń noworocznych" zaangażował Miagkowa do swego nowego filmu „Służebnyj roman".

Film ten wejdzie na ekrany radzieckie jeszcze w tym roku.

CIA PRZECIWKO KUBIE

Zamieszczamy, z małymi skrótami, wywiad, którego udzielił korespondentowi dziennika „L'Humanité" pierwszy sekretarz KC Komunistycznej Partii Kuby, premier rządu Kuby — Fidel Castro Ruz, na temat przestępczej działalności amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej przeciwko Kubie.

PYTANIE: Co moglibyście powiedzieć o niezliczonych próbach Centralnej Agencji Wywiadowczej dokonania zamachu na Wasze życie?

ODPOWIEDŹ: Tak, plany zabójstwa przywódców rewolucji, które CIA zamierzała wykonać bezpośrednio lub pośrednio, w ciągu 10 z górą lat, są odrębnym zagadnieniem. Zresztą nie wierzę, żeby i teraz jeszcze nie chciała ona wykonać jakichś planów. W przeciągu wielu lat CIA, formalnie pozostając na uboczu, wykonywała takie plany przy pomocy zwerbowanych przez nią ludzi. Szukała wszelkiego rodzaju zabójców — profesjonalistów. Wykorzystywała swoje laboratoria do przygotowywania trucizn i opracowywania śmiercionośnych broni, takich jak broń z przemyślnych wizjerem optycznym, strzelające długopisy, narkotyki, preparaty bakteriologiczne, podwodne bomby. Nie będę się zatrzymywał nad tym wszystkim, ponieważ dowody tego opublikowano częściowo w dokumentach Senatu USA. Jednakże, czytając je, można się z nich dowiedzieć, zaledwie o nikłej części podobnych operacji. W rzeczywistości zabójstw przygotowywano znacznie więcej. Pośrednio lub bezpośrednio amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza zachęcała i uzbrajała dziesiątki grup kontrrewolucyjnych, których głównym zadaniem były zabójstwa przywódców rewolucji.

Centralna Agencja Wywiadowcza działała dwojako: albo bezpośrednio, posługując się zwerbowanymi przez nią agentami, którymi kierowała, albo pośrednio, bardziej podstępnie, manipulując dziesiątkami kontrrewolucyjnych grup i organizacji. Niektóre z tych grup czy organizacji tworzyła CIA i były one dla niej przykrywką, inne powstawały spontanicznie, lecz wcześniej czy później wszystkie przechodziły pod kontrolę CIA. Ona zaopatrywała je w pieniądze i broń. Ona dyktowała im linię polityczną, opracowywała ich strategię i taktykę. Ale my, mając poparcie zorganizowanego narodu. Komitetów Obrony Rewolucji, organów bezpieczeństwa publicznego, pokrzyżowaliśmy wszystkie te plany. W większości wypadków udało nam się je unieszkoliwić. Mówię — „w większości wypadków" — ponieważ zamachy nie dochodziły czasem do skutku z powodów nie przewidzianych przez CIA, albo z tchórzostwa naszego wroga. Przecież w rzeczywistości kontrrewolucjoniści są najemnikami, a oni drżą o swoje życie. Dlatego też wiele razy, kiedy nawet i zaistniały warunki do wykonania zleconego im zadania, w krytycznym momencie oblatywał ich strach.

Tak więc wykonaniu niektórych zamierzeń przeszkodziły nie tylko podjęte przez nas środki ostrożności, lecz także moralna siła rewolucji i demoralizacja jej wrogów. Mówiąc o dywersyjnej działalności CIA, nie zapominamy o jednej ważnej okoliczności, mianowicie, że sięgnęła ona nawet do wojny bakteriologicznej. Nie tylko przygotowywała trucizny i kultury chorobotwórczych bakterii, lecz także, jak wykazały laboratoryjne analizy, próbowała udaremnić produkcję środków żywnościowych. CIA zamierzała zniszczyć nam plony trzciny cukrowej, hodując w tym celu kultury bakterii szkodliwych dla roślin i przygotowując specjalne trujące preparaty chemiczne. CIA stosowała podobne metody w celu zniszczenia naszej hodowli świń, zarażając zwierzęta takimi chorobami, że straciliśmy połowę pogłowia świń. Z zeznań kilku agentów dowiedzieliśmy się o przygotowywaniu planów operacji bakteriologicznej, której celem było zniszczenie naszego ptactwa domowego. Wiadomo, iż CIA wynajęła nawet specjalistów do przeprowadzenia w sąsiedztwie Kuby prób zmiany naszego klimatu i zatopienia Kuby sztucznie wywołanymi deszczami.

PYTANIE: Wasza wypowiedź ma bez wątpienia ogromne znaczenie. Rzeczywiście, któż tego nie pamięta, kiedy to po rozgromieniu Amerykanów w Zatoce Świń wielu naiwnych ludzi winiło ówczesnego dyrektora CIA, Allana Dullesa, że to on rzekomo „narzucił swoją wolę" prezydentowi Johnowi Kennedy'emu, jak również i tego, kiedy Kennedy zwolnił Dullesa z zajmowanego stanowiska, robiąc z niego kozła ofiarnego? Któż nie pamięta, z jaką wytrwałością pojawiał się na łamach gazet mit o „dobrym prezydencie" zaplątanym w sieci podstępnej CIA?

ODPOWIEDŹ: Uważam, że CIA jest najbardziej przestępczą i najniebezpieczniejszą międzynarodową mafią spośród wszystkich, które istnieją. Tym bardziej że ma oparcie w niezliczonych milionach dolarów i w całym naukowo-technicznym potencjale Stanów Zjednoczonych. Tego rodzaju organizacje mają tendencje do działania, w pewnym stopniu, na własną rękę. Nie sądzę jednak, żeby rzeczywiście CIA wymknęła się kiedykolwiek spod kontroli rządu Stanów Zjednoczonych.

Niewątpliwie, Centralna Agencja Wywiadowcza dysponuje swymi własnymi siłami i wpływami, ale opiera się na najbardziej reakcyjnych elementach. Dam wam dowód: kiedy obecny prezydent USA chciał desygnować na stanowisko dyrektora CIA człowieka cieszącego się jego zaufaniem, dziennikarza i pisarza, który ma opinię stosunkowo liberalnego działacza, mam na myśli Sorensena, nie udało mu się tego zrobić. Inaczej mówiąc, rząd USA z prezydentem włącznie, mogą się zetknąć w takiej sprawie z pewnymi trudnościami. Niemniej CIA, jako instytucja państwowa, odzwierciedla polityczną linię, strategię i zasadnicze decyzje rządu Stanów Zjednoczonych. Co do tego nie ma wątpliwości.

PYTANIE: Czy nie uważacie, iż rząd USA i sama CIA, korzystając z usług wyrzutków społeczeństwa, ryzykują, że mogą — na przykład — stracić kontrolę nad kubańskimi najemnikami, którzy w ostatecznym rachunku stali się bielmem na oku ich własnej polityki?

ODPOWIEDŹ: Sądzę, że te męty używano już przeciwko siłom postępowym. Właśnie ich rękami zabito przywódców chilijskiej Jedności Narodowej. Używano ich także i w innych krajach. Ale bynajmniej nie działali samodzielnie. Idą linią nakreśloną przez imperializm. Tak np. walczył imperializm z postępowym rządem Portugalii, kiedy w tym kraju rozpoczęła się rewolucja. Nie mówię o obecnej chwili, lecz o najważniejszym okresie portugalskiego procesu rewolucyjnego. To samo zdarzyło się w Chile czy w jakimkolwiek innym kraju. Tam, gdzie imperializm rozwija swoją działalność, tam jego wierne psy idą za nim. Dam wam następny przykład. Przez pewien czas najemnicy CIA zachowywali się stosunkowo spokojnie. Ale niedawno, kiedy Kuba okazała solidarną pomoc Angoli, głęboko zaniepokojony i rozwścieczony imperializm wystąpił z pogróżkami wobec Kuby i całą tę sforę spuszczono z łańcucha. Najemnicy zaczęli napadać na nasze ambasady, na kubańskie organizacje za granicą, na linie lotnicze, wysadzili w powietrze jeden z naszych samolotów z 75 pasażerami...

Faktycznie CIA działało i działa w większej liczbie krajów niż o tym wiemy. Wiadomo, że działa ona i działa na całym świecie, wszędzie, gdzie rozpoczął się proces rewolucyjny. To doskonale znane fakty. Dlatego nasze doświadczenie ma przede wszystkim wielkie historyczne znaczenie, bowiem demaskuje metody, przy pomocy których działa CIA, jako główna broń imperializmu w dławieniu procesu rewolucyjnego.

Tłumaczył:
JERZY CZECH

BUNDESWEHRA W NORWEGII

9 kwietnia 1945 roku, Vidkun Quisling, zdrajca narodu norweskiego, skazany za współpracę z hitlerowcami na śmierć i stracony w 1945 roku, wezwał hitlerowski wehrmacht do Norwegii, „żeby odeprzeć zagrożenie ze Wschodu". Dziś władze Norwegii witają z zadowoleniem udział zachodnioniemieckich wojsk w militarnym szkoleniu NATO na terytorium Norwegii.

Krok za krokiem — pisze norweski publicysta A. Jurgensen, w stołecznym dzienniku „Friheten" — ustępowały władze pod naciskiem NATO i militarystycznych kół RFN. W 1959 roku udzielono zgody na założenie baz zaopatrzenia marynarki wojennej NATO, w tym również zachodnioniemieckiej, rozlokowanych wzdłuż norweskiego wybrzeża. W tymże roku Storting (Parlament — red.) wyraził zgodę, żeby dwóch zachodnioniemieckich oficerów odbywało służbę w kwaterze głównej północnego dowództwa NATO w Kolsos, w Norwegii. W 1962 roku liczba zachodnioniemieckich oficerów wzrosła tam już do 10, a w 1969 roku rząd norweski wyraził zgodę na pobyt w Kolsos zachodnioniemieckiego admirała (mającego duże doświadczenie wyniesione z wojen, które prowadziła była III Rzesza).

W 1976 roku minister obrony, Hansen, oświadczył w Brukseli, iż przyjęto plan „dalszej normalizacji współpracy między Norwegią i Zachodnimi Niemcami. W związku z tym, planem, w tym roku, po raz pierwszy 200 żołnierzy służby sanitarnej Bunderwehry wzięło udział w ćwiczeniach NATO w Norwegii. W następnych dużych manewrach NATO na norweskiej ziemi w 1978 roku planuje się udział ponad 1.500 zachodnioniemieckich żołnierzy, z udziałem pododdziałów łączności i wojsk spadochronowych. Odrodzona Bundeswehra, utrzymująca pod bronią 500 tysięcy ludzi, dąży do „rozszerzenia przestrzeni życiowej" także na terytorium Norwegii. Bunderswehra, która chce otrzymać broń jądrową, pozostanie na razie w pododdziałach NATO dysponujących taką bronią i będzie brała udział w szkoleniach NATO w Norwegii.

Słowa prezydenta Urho Kekkonena, że narodowi Finlandii nie jest obojętne z kim współpracuje Norwegia w dziedzinie wojskowej, w najwyższym stopniu dotyczy i naszego narodu — pisze Jurgensen. — Dziś Norwegowie są świadkami naporu sił dążących do użycia terytorium Norwegii w charakterze wojskowego poligonu przeciwko krajowi, który przyszedł nam z pomocą i poniósł ofiary w tysiącach zabitych swoich żołnierzy w imię wolności Norwegii.

„Norwegia dziękuje wam!" — wykuto na obeliskach wzniesionych po wyzwoleniu w Oslo, Kirkenes i innych miastach dla uczczenia pamięci radzieckich żołnierzy, którzy oddali życie wyzwalając Norwegię spod hitlerowskiej okupacji. Dziś słowa te poszły w zapomnienie — pisze Jurgensen.

(C)

SYTUACJA W AZJI W WYWIADZIE LEONIDA BREŻNIEWA
MISJA FAHMIEGO W MOSKWIE

W wywiadzie Leonida Breżniewa dla japońskiego dziennika Asahi Shimbun", poza najistotniejszym problemem naszych czasów — rozbrojeniem, wiele miejsca zajęła **sytuacja w Azji.** Podkreślając, że ZSRR był i jest nierozerwalnie związany z kontynentem azjatyckim historycznie, gospodarczo i geograficznie, sekretarz generalny KC KPZR wyraził pogląd, że **dominująca tendencja na świecie — odprężenie nie powinna ominąć tego rejonu.** Obecnie — po wygaszeniu wojen indochińskich — powstały korzystniejsze przesłanki do zapewnienia trwałego pokoju i bezpieczeństwa.

Przywódca radziecki raz jeszcze opowiedział się za unormowaniem międzypaństwowych stosunków z Chińską Republiką Ludową, co przyczyniłoby się znacznie do poprawy ogólnej sytuacji międzynarodowej. Niestety, z winy strony chińskiej nie widać dotychczas żadnych zmian na lepsze. **Nowe kierownictwo chińskie idzie starą drogą,** nie rezygnuje z ataków na politykę odprężenia i stara się nie dopuścić do poprawy stosunków między państwami.

Jako że dawno już na tym miejscu nie pisaliśmy o tym, co dzieje się w Pekinie, korzystamy z okazji.

Za deklarację polityczną nowego kierownictwa można uznać opublikowany ostatnio artykuł przewodniczącego KPCh — Hua Kuo-fenga na temat wydanego właśnie piątego tomu „Dzieł wybranych Mao Tse-tunga". Artykuł ten podkreśla wierność wewnętrznej i zagranicznej polityce Mao i jest pełen, znanych nam z poprzedniego okresu, oskarżeń pod adresem Związku Radzieckiego. Nawołuje on ponadto do wzmożenia przygotowań wojennych. Jeśli więc w tym tekście doszukiwać się programowych haseł — to są nimi: **antyradzieckość i militaryzm.**

Z artykułu i innych wypowiedzi Hua Kuo-fenga wynika, że **głównym obiektem ataków jest pokojowa polityka Związku Radzieckiego,** której postępy niepokoją Pekin. I w tym miejscu występuje dziwna zbieżność tego, co głoszą maoiści z siłami kompleksu przemysłowo-militarnego na Zachodzie, które równie czynnie angażują się w pohamowanie procesów odprężenia. Dzieje się to oczywiście nieprzypadkowo właśnie teraz, kiedy spotykają się w Belgradzie sygnatariusze Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

Maoiści głosili, a nic nie wskazuje, aby od tego przekonania odeszli, że próby pokojowego regulowania problemów międzynarodowych są niepotrzebną stratą czasu i może je rozwiązać tylko wojna. „Nie jest ona takim złem" — powiedział na forum ONZ szef delegacji chińskiej. Dla niego tragedia ludzkości, jaką nieuchronnie przynieść musiałaby współcześnie wojna, jest tylko faktem, „że w wojnie tej zginie ileś tam ludzi".

Oczywiście takie sądy nie mogą wytrzymać próby czasu. Ile jednak wyrządzają szkody obecnie!

A teraz powróćmy do wywiadu L. Breżniewa. Podjęto w nim, rzecz zrozumiała, **zagadnienie stosunków radziecko-japońskich.** Jeszcze w 1973 roku ustalono, że kontynuowane będą rozmowy, zmierzające do zawarcia układu pokojowego między obu krajami. — Związek Radziecki — podkreślił sekretarz generalny KC KPZR — gdy tylko strona japońska nie postawi warunków nie do przyjęcia, gotów jest sprawę doprowadzić do końca. Jeśli Japonia nie jest jeszcze do tego gotowa — tamten układ mógłby wyprzedzić układ o stosunkach dobrego sąsiedztwa i współpracy, obejmujący te dziedziny, które dojrzały już do rozstrzygnięć.

L. Breżniew wysunął też propozycję dalszego wzrostu wymiany handlowej między obu krajami.

Jak informują agencje, **wywiad dla japońskiego dziennika odbił się szerokim echem w różnych rejonach Azji.**

Pozostańmy już dzisiaj przy doniesieniach z Moskwy, aby zwrócić uwagę Czytelników **na wizytę w stolicy ZSRR egipskiego ministra Spraw Zagranicznych — I. Fahmiego.** Przyjęty on został przez L. Breżniewa. W czasie spotkania — jak informuje agencja TASS — dokonano pożytecznej wymiany poglądów na temat stanu i perspektyw dwustronnych stosunków, sytuacji na Bliskim Wschodzie, a także niektórych innych problemów międzynarodowych. **Podkreślono dwustronne dążenie do ustanowienia stosunków przyjaźni i współpracy między obu krajami oraz konieczność umocnienia współpracy i koordynacji wysiłków między ZSRR i krajami arabskimi.**

Brzmienie komunikatu nabiera szczególnego znaczenia wówczas, gdy przypomnimy sobie, że swego czasu Sadat jednostronnie wypowiedział układ ze Związkiem Radzieckim. Nie ulega wątpliwości, że misją Fahmiego było ocieplenie stosunków. Podkreślił to zresztą w rozmowie z dziennikarzami, oświadczając, iż jego wizyta w Moskwie „stanowiła dobry początek".

W. SŁAWSKI

SPORT

MITOLOGIA

Jest takie powiedzenie, którego używa się najczęściej w sytuacjach konfliktowych, kiedy któryś z zawodników naruszy jedną z powszechnie obowiązujących zasad, kiedy sprawa staje się głośna. Tym powiedzeniem jest praca wychowawcza. Przeskrobie coś zawodnik, to pod adresem klubu pada pytanie: — a jak tam u was z pracą wychowawczą? Albo po prostu stwierdza się: — u nich w klubie z pracą wychowawczą nie jest najlepiej.

Jeden z doświadczonych trenerów stwierdził niedawno, że przywoływanie hasła o pracy wychowawczej w takich sytuacjach na nic się nie zda, gdyż dotyczy to już ludzi najczęściej po dwudziestce, których nie jest tak łatwo wychowywać, bo zostali już wychowani. Jest w tym niewątpliwie racja, ale jest to racja częściowa. Chętnie zgodzę się, że „praca wychowawcza" jest ładnym kamuflażem, zasłoną dymną, która dokładnie przykrywa problem, wygodnym hasłem, które odwraca uwagę od meritum sprawy. I nie dlatego, że praca wychowawcza jest zbędna, że jestem jej przeciwna, że jest dla mnie mitem.

Jest to pojęcie dość szerokie. Można podłożyć pod nie z równym powodzeniem pogadanki, zabawę w „kółeczko graniaste", jak też funkcjonujący przecież system kar i nagród. Jest to pojęcie tak szerokie, że mało kto zwraca uwagę na drobiazg pozorny, że żaden gwiazdor sportowy nie przychodzi nagle z ulicy, nie pojawia się znikąd, nie spada z nieba. Żeby zostać wyróżniającym się piłkarzem, trzeba mieć do tego zdolności, nazywane też talentem, trzeba gdzieś zacząć, trenować, nauczyć się techniki piłkarskiej, wyrobić sobie kondycję i nieustannie ją utrzymywać. Nikt nie przyjdzie na taflę lodową i nie powie: — wczoraj nauczyłem się jeździć na łyżwach, dziś chcę grać w hokejowej reprezentacji Polski. W siatkówkę można znakomicie pogrywać na wakacjach, ale to jeszcze nie powód, aby zostać członkiem kadry narodowej, czy choćby pierwszoligowej drużyny.

Kiedy dowiaduję się, że w klubie sportowym wręczono piętnastolatkom nagrody w sumie 15 tysięcy złotych dla każdego, to już mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że właśnie zaczęła się praca wychowawcza. Albo kiedy maturzyście, wyróżniającemu się też zdolnościami sportowymi, proponuje się w innym mieście mieszkanie wraz z meblami oraz pomoc w załatwieniu indywidualnego systemu studiów na wyższej uczelni, to wiem, że również zaczęła się praca wychowawcza. Dobrze zapowiadający się sportowiec nie musi martwić się o egzamin, ma już zapewniony start do dorosłego życia, ma za sobą to wszystko, co inni jego rówieśnicy mają jeszcze daleko przed sobą. Fakt, że na samodzielne mieszkanie nie będzie musiał czekać kilka ładnych lat wyróżnia go nie tylko w jego świadomości. A czy ten fakt pozostanie bez wpływu na jego charakter, psychikę? Czy nie zakiełkuje mu myśl, że wolno mu więcej niż innym ludziom w tym kraju?

W naszych czasach sport przestał być zabawą, hobby, chociaż wszystkich namawiałabym do uprawiania sportu w wolnym czasie, dla zdrowia oczywiście. Sport wyczynowy jest natomiast pracą ciężką i absorbującą. Ale sport można uprawiać wyczynowo przez pewien czas, który w każdym przypadku zależy od wytrzymałości ludzkiego organizmu. Sportowiec po okresie czynnego życia sportowego musi przejść do innego życia i musi być do tego przygotowany. Materialnie również. I wielką zasługą klubów jest niewątpliwie to, że o przyszłości zawodników myślą, że ułatwiają im zdobycie zawodu, urządzenie się w przyszłym życiu. Nie może to się jednak dziać na zasadzie przetargu, licytacji, bo jest to też jakaś forma pracy wychowawczej. Muszą tu obowiązywać określone zasady, nie odbiegające zbyt daleko od tych, które obowiązują w innych dziedzinach naszego życia.

Coraz częściej słyszy się, że kluby chciałyby mieć możliwość wpływania na warunki życia i pracy swoich sportowców. Formalne warunki. Teraz przecież też je mają, ale ponieważ są to warunki nieformalne, ich wpływ wychowawczy nie zawsze jest pożądany, nie zawsze dodatnio wpływa na kształtowanie się osobowości młodego człowieka. Niektórzy działacze sportowi twierdzą, że gdyby tak było, nie słyszałoby się tyle o pracy wychowawczej w sytuacjach alarmowych. Więcej, że mogłoby do tych sytuacji często nie dochodzić, bo klub mógłby skuteczniej temu zapobiegać.

Warto chyba nad tym wszystkim dobrze się zastanowić, jako że wielu sportowców wysokich lotów, zdobywających swoje sportowe pozycje w takich, a nie innych warunkach, przygotowuje się do zawodu trenera. Czy ich sportowa praktyka nie odbija się później ujemnie na wychowywaniu następców? Pytanie jest o tyle aktualne, że dzisiejsi trenerzy byli zawodnikami przed wielu laty, kiedy w sporcie były zupełnie inne warunki, inne układy. Dziś jest to jeszcze pytanie teoretyczne. Jutro może nim już nie być.

BOGDA MADEJ

KSIĄŻKI W DRUKU

Wiesław Jażdżyński
przygody źle urodzonego studenta

IX

Karol wyciągnął Nałęcza z popołudniowego brydżyka. Wbrew oczekiwaniom hrabia Wiktor Ksawery serdecznie mu za to podziękował.

— Postąpiłeś jak prawdziwy chrześcijanin, odwiodłeś mnie od pokusy. Mój ojciec, prawdziwa skarbnica doświadczeń jeśli chodzi o karty, mawiał często, że najtrudniej odejść od stołu, kiedy się wygrywa. Człowiek wierzy, że tym razem odegra wreszcie folwark, albo kawał grzybnego lasu, a cała przyjemność kończy się nowym rewersem na łąkę albo stado krów. Stało się coś?

— Dużo.

— Nie wyglądasz wyraźnie. Jakiś kac moralny?

— Duży kac.

— Potrzebujesz przyjacielskiej pociechy, czy rady?

— Nie hrabio, nie potrzebuję, ponieważ jednak to ty mnie wpakowałeś w kabałę, chyba bezwiednie, powinieneś wiedzieć, co zamierzam. Zwijam manatki, już, natychmiast, a tobie dziękuję za posadę i protekcję.

Nałęcz spoważniał.

— Taką decyzję warto oblać. Zajdziemy do mnie, co? Czuję, że tym razem nie obejdzie się bez szczerej rozmowy, chciałem wcześniej zagrać z tobą w otwarte karty, ale zawsze tak jakoś schodziło.

— Jest to jedyna gra, w której chciałbym uczestniczyć, przyjmuję zaproszenie.

— Siadaj kolego, zaraz dostaniesz gorzelanki, sprezentował mi flaszczynę inżynier Nowodworny, jedyny obok mnie i chyba ciebie szczery człowiek. Chociaż przesadzam, ty nie jesteś szczery.

— To samo mógłbym o tobie powiedzieć.

— No to powiedz.

— Wrobiłeś mnie bez najmniejszych skrupułów w tę polityczną aferę, nie zapytałeś nawet o zdanie błękitny demokrato. Kto tak postępuje?

Karol wypił kieliszek gorzelanki odwrócony bokiem, jakby sam z sobą, zagniewany, gotów Nałęczowi wygarnąć wszystko czego był pewien, a nawet więcej.

— Dziwne, bo ja myślałem, że ty sam tego chciałeś, może zresztą i nie chciałeś, tylko musiałeś?

— Musiałem? A dlaczego musiałem? Czy ty nie rozumiesz, że ja chcę spokojnie żyć? Machnąłem studia w niecałe trzy lata, ty także. Myślałem, że będziemy trzymać się razem, tak myślałem, boś mi się podobał, osiądziemy gdzieś, odczepimy się od przeszłości...

— Zgoda — przerwał mu Nałęcz — może tak mogło być, aleś ty wybrał, Karolku, dobrze płatną drogę odczepienia się od przeszłości. Ile ci zapłacił Zagórzański?

— Nic mi nie zapłacił.

— Tutaj ściany mają uszy. Powiedz szczerze — ile?

— Sto tysięcy, ale ja tych pieniędzy nie ruszę, oddam na sieroty, inwalidów, jest w tym kraju na co oddać.

— A ile ci płacą tamci?

— Albo ty zwariowałeś, albo jesteś nieprawdopodobnym sukinsynem. Jedno z dwojga.

— Grajmy w otwarte karty, jakżeśmy się umówili. Ja do ciebie nic mam żadnych pretensji, mogę nawet przyznać, że wobec mnie byłeś zawsze fair. Rozumiem twój dramat, naprawdę rozumiem, nie masz innego wyjścia, musisz współpracować z nimi, grać podwójną rolę i grasz bezbłędnie, powiedziałbym nawet...

Nie dokończył, Karol strącił go z krzesła, mocnym ciosem pięści i krzyczał.

— Ty herbowy skurwielu, myślisz, że należę do plemienia sprzedawczyków, co? Do głowy hrabiemu nie przyjdzie, że można coś szczerze przeżywać, walczyć ciężko o własną twarz, szukać i nie znajdować, ale szukać bez przerwy, do końca, ty arystokratyczny chamie, pasożycie, nawet u komunistów potrafisz żyć luksusowo na cudzy koszt.

Wymierzył wstającemu Nałęczowi policzek.

— Chciałeś przez to powiedzieć, że się pomyliłem co do ciebie?

— Zgadłeś, świnio.

— Wierzę ci Karol i bardzo przepraszam

Powiedział to tak szczerze i prawie z rozpaczą, że Karolowi przeszła złość. Sam napełnił kieliszki.

— W porządku, nie było słów ani mordobicia.

— Daj mi te pieniądze, jeśli ich nie chcesz.

— Wziąłbyś judaszowe srebrniki.

— Nie judaszowe, zresztą pecunia non olet, tylko ryba, ale od głowy. Zbuduję dom, w którym i ty będziesz mógł zamieszkać. Pierwszy z Nałęczów otrzymał właśnie posadę państwową, u nas się tego nigdy dotąd nie praktykowało.

— Rzeczywiście nadzwyczajne, Nałęcz na miesięcznej pensji. Co dostał?

— Gajowego, znamy się na lasach, ale tam wszystko rozwalili, musimy się złożyć na ładny dom. Daj swoją część.

— Pisz kwit na sto tysięcy, będę korzystał w czasie wakacji, a może częściej. Gdzie to ma być?

— W północno-wschodniej części Mazur, nad granicą sowiecką, zawsze mieszkaliśmy niedaleko granicy z Rosjanami. Osiądę i ja tam jako pierwszy Nałęcz z tytułem magistra. A ty co zamierzasz?

— Zmywam się, ale nie wiem jeszcze gdzie.

— A badania socjologiczne?

— Zagórzański dostanie, wybacz hrabio — gówno, ale nie moje notatki.

— Możesz jechać ze mną.

— Znajdę cię, jeśli będę musiał, zbuduj najpierw przyzwoitą chatkę pod lasem, nad wodą.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— W Bieszczadach jest bardzo ładnie, w sam raz dla ciebie, tyle tylko, że tam się leją... nie krzyw się, żartowałem, a mówiąc poważnie robisz dobrze zrywając z tymi gówniarzami. Taki Zagórzański mógłby mojemu ojcu buty czyścić, a chce być prezydentem miasta, polityk bez pojęcia, ja ci to mówię, Srebrzyński puknął ostatni raz z rewolweru podczas pierwszej wojny światowej i nie trafił do tarczy, truchło, które ubrdało sobie, że dostanie awans na generała, Rodacki, Romanus to stare polskie endeki, cwane, wyrachowane, to są zimni ludzie, zdolni do biegania po trupach, nienawidzą orła bez korony, powszechnej oświaty, żłobków, przedszkoli, świadomego macierzyństwa, wczasów robotniczych, stołówek, akceptują tylko eleganckie restauracje i więzienia.

Karol odtajał, udzielił mu się w pewnej mierze wesoły nastrój Nałęcza. Mój Boże, nie w takich tarapatach się bywało, w końcu nie będą go ścigali, nie mogą, ponieważ za dużo o nich wie.

— Hrabio, należy mi się jeszcze jeden kieliszek i kilka słów o dyrektorze Miodnym.

— To bardzo logiczne co powiedziałeś, już cię obsługuję, a ten młynarczyk, przychłopek, jest ze wszystkich najgorszy. Patriota i szabrownik gigant, sprzedaje wszystko co może tutaj znaleźć — urządzenia fabryczne, maszyny, zegary ścienne, instrumenty kościelne, muzyczne, zabytkowe srebro, obrazy, sobie chowa tylko złoto. Teraz myśli o sprzedawaniu spirytusu z gorzelni, którą uruchomił inżynier Nowodworny, wagonami, cysternami, z własną ochroną, zupełnie jak gangster z Chicago podczas prohibicji.

— A co on robi jako patriota?

— A burdel, dezorganizuje życie ludzi jak może, wprowadza piramidalny bałagan w rolnictwie, no i melinuje rozmaitych poszukiwanych przez władze w rodzaju Bonawentury Kempistego.

— Myślałem, że to tylko pieczeniarz.

— Rozumiem cię, Bonawentura gra znakomicie swoją rolę. Mało o nim wiem, ale to mocno tajemnicza postać, powąchaj go tylko, a poczujesz, że wcale nie pachnie myrrą i kadzidłem, ale prochem, mnie się zdaje, że on wysadza, dynamitard, proszę ciebie. Znika na całe miesiące, tutaj przyjeżdża odpoczywać pod okiem Rodackiego albo lekarzy.

— Nie wygląda na chorowitego.

— Zdrów jak byk.

— Jeżeli to wszystko prawda, a chyba tak, to co w takim razie ty tu robisz?

— Przebywam na kuracji odwykowej, powinienem odwyknąć od takiego towarzystwa i spoważnieć trochę.

Karol słuchał uważnie. Nałęczowie nie traktowali serio, czy może lepiej będzie powiedzieć — dramatycznie przeciwności losu. Nie mieli ich zresztą zbyt wiele. Jako typowi rezydenci posiadali wyznaczone z góry przez opatrzność miejsca w wagonach sypialnych lub co najmniej pierwszej klasy na kolejach całego świata, loże na torach wyścigowych, przyzwoite apartamenty w hotelach, o własnych stolikach w reprezentacyjnych lokalach nie ma co mówić, bo to się rozumie samo przez się. Świat po to został stworzony, aby mógł dobrze służyć Nałęczom swoimi wdziękami, jasne, prawda? No, ale, kurcze blade, odstawiła ich historia od stołu. Trudno to zrozumieć, ale trzeba. Nałęczowie nie zajmowali się wyzyskiwaniem, śmieszne posądzenie, sprzedawali ziemię, lasy, poniżej obowiązującej ceny. Weźmy na przykład dobre serce dziadka. Niedaleko od pałacu założył dziadzio jeszcze w sile wielku piękny przysiółek — Nałęczówkę, dla młodych matek, które urodziły już po jednym dziecku, bardzo podobnym do dziadzia. Każda matka otrzymała po pięć hektarów, konia, dwie krowy, dom i stodołę, kandydaci na mężów ustawiali się w kolejce i taki to był wyzysk. Historia nie mogła się jednak zatrzymać w miejscu z powodu Nałęczów, fakt, niestety, fakt, i to także trzeba przyjąć godnie, nie robić świństw tylko przystosować się i żyć uczciwie, choćby przeszkadzali trochę nadgorliwi tej epoki, a bywają tacy, temu także zaprzeczyć niepodobna, wygnali Nałęcza i Żesławskiego nawet z ciepłej stróżówki, niech Bóg im to wybaczy, albowiem nie wiedzieli co czynią, lecz tylko wierzyli. Bywało nieraz, że szedł Nałęcz samotnie w lasy, nad jeziora zgodnie z rozkazem pana ojca, żył rok bez grosza, mając do dyspozycji tylko strzelbę, siekierkę, nóż, koc, namiot i zapałki. Tak hartowali się Nałęczowie; umieli oprawić zwierzynę, łowić ryby, smażyć, gotować, łatać ubranie i buty, marznąć, oszukiwać głód papierosem własnej produkcji, kontentować się ziemniakami pieczonymi w ogniu. Tylko, że dawniej była to zabawa w trudne życie, a teraz samo życie jest trudne, nie do zabawy, cóż gadać, trzeba spoważnieć, nauczyć się jeździć wagonami dla zwierząt, na łebka, jadać w przygodnych stołówkach, barach mlecznych, pobierać nauki na uniwersyteckim poziomie, stróżować, inni też to robią i żyją, śmieją się i smucą całkiem po ludzku.

Nałęcz przerwał, usłyszeli ciężką pracę motorów. Wyszli na balkon i przyglądali się autobusom, które zajeżdżały ciężko przed budynek główny ośrodka.

— Piękne strony, ale nie dla mnie. Lasy ponure spadziste, nieprzychylne człowiekowi, ani cię tu brzezina oczaruje, ani gaik dębowy zaskoczy, darmo szukać wody do kąpieli. W twoich stronach są jakieś górki, co? Nigdy tam nie byłem.

Karol chciał powiedzieć coś serdecznego na temat Gór Świętokrzyskich, ale wcześniej Nałęcz schwycił go za rękę.

— Kryj się — pociągnął Karola do pokoju.

— Wariat, regularny czubek, co się nagle stało?

— Może się stać i chyba niezadługo. Spłyniesz stąd w dolinę jeszcze dzisiaj.

— Nie widzę powodu. O co chodzi?

— Wśród wczasowiczów są wywiadowcy.

— Ależ ty masz znajomych, niechże cię! Jacy znowu wywiadowcy?

— Słuchaj mnie uważnie i zrób dokładnie to, co ci powiem. Ci sami faceci, poznałem ich bez trudu, mają taki specjalny fason, no więc ci sami zjechali kilka tygodni temu do „Perły Sudetów", a w kilka dni później wygarnęli duże towarzystwo.

— Skąd wiesz?

— Byłem tam kaowcem.

— Jesteśmy niewinni — zauważył Karol niepewnie.

— Gdyby oskarżeni całego świata i na całej przestrzeni dziejów mogli na czas dowieść swojej niewinności, mielibyśmy dzisiaj dwa razy więcej ludzi na ziemi. Nie uważasz?

— Nie dojdą do nas tak szybko, zdążymy wyjechać w nieznane, ale chyba nie będziemy nawet podejrzani.

— Spodziewaj się najlepszego, ale szykuj na najgorsze. Tutaj żyje się w społeczności otwartej, czy może lepiej powiedzieć podglądanej, każdy wie coś o drugim. W szkole — na przykład — uczono mnie o szczególnej roli pokojówek i służących w komediach Moliera i Fredry.

— Uwaga słuszna, mnie też tego uczono. No, to co mam zrobić?

Plan Nałęcza, zaimprowizowany na poczekaniu, nie był trudny do wykonania. Karol weźmie tylko najpotrzebniejsze rzeczy, wszystko musi zmieścić w teczce, aby nie zwracało uwagi i pomaszeruje do inżyniera Nadwornego, bo to jedyny człowiek ze znajomych, któremu można zaufać. Nałęcz natomiast zbada dokładniej sytuację, w końcu i pomyłki wykluczyć nie można. Jutro, najdalej pojutrze, zamelduje się u inżyniera. A wtedy będzie już wiedział, czy grozi im jakieś niebezpieczeństwo.

(cdn.)

GIGI

Francuską powieściopisarkę, Colette, żyjącą w latach 1873—1951, której zwykle starannie ukrywane imiona brzmiały: Sidonie — Gabrielle, polscy czytelnicy, a może raczej należałoby powiedzieć polskie czytelniczki znają przede wszystkim z powieściowego serialu, na który składały się tomy: „Klaudyna w szkole", „Klaudyna w Paryżu", „Małżeństwo Klaudyny", „Klaudyna odchodzi". Powieści te pisane były w latach 1900—1905 i gwoli prawdy trzeba dodać, że Colette pisała je wspólnie ze swoim pierwszym mężem i wydawała pod jego pseudonimem „Willy". Po rozwodzie w roku 1906 pisała i wydawała już tylko pod swoim nazwiskiem.

Zwano ją „kapłanką zmysłów i ciała", bo też problem uczuć zajmował ją najbardziej. Faktem jednak jest, że Colette znała się na psychologii, była również znakomitą ilustratorką obyczajów swoich czasów. Stąd w jej powieściach można znaleźć trafne naszkicowanie sylwetki bohaterów, najczęściej kobiet w różnym wieku, stąd tyle szczegółów i szczegółików oddających styl życia Francji u schyłku wieku XIX i w początkach XX wieku.

Przypominamy o Colette z racji kolejnego przekładu jej prozy. W PIW-ie ukazał się tom „Gigi i inne opowiadania", w którym, jak zawsze u niej, znajdziemy wiele interesujących portrecików kobiet, sporo wielkich i niedużych intryg miłosnych, jednym słowem — atmosferę prawdziwej kobiecości. I te opowiadania, tak jak cała twórczość pisarki, zawierają wiele elementów autobiograficznych, i tak, jak cała jej proza — charakteryzują się prostym i bardzo obrazowym stylem.

Colette — „Gigi i inne opowiadania", wybór i przekład K. Dolatowskiej, PIW, W-wa 1977, str. 331, cena zł 45.—

W KRĘGU SKAMANDRA

„Praca niniejsza obejmuje studia z zakresu badań nad problematyką dziejów grupy Skamandra oraz jej funkcji w życiu kulturalnym dwudziestolecia międzywojennego. W skład jej wchodzi kilka względnie autonomicznych opracowań, które w sumie stanowią próbę opracowania monografii jednego socjologiczno-literackiego problemu: funkcjonowania ugrupowania Skamandra w komunikacji literackiej okresu. Całość podzielić można na trzy zasadnicze części, metodologiczną, syntetyczną i problemową" — pisze we wstępie do książki „W kręgu Skamandra" jej autor, Janusz Stradecki, znany badacz literatury polskiej okresu międzywojennego, autor cenionej bibliografii poświęconej twórczości Juliana Tuwima.

Czytelników, którzy nie są fachowcami w zakresie historii naszej literatury, zainteresuje przede wszystkim część druga i trzecia książki Stradeckiego. Druga obejmuje bowiem „Biografię zbiorową grupy Skamandra", zawierającą szczegółowy opis historii tej znanej grupy i to od momentu jej narodzin aż po ostateczne rozproszenie się jej w latach wojny. Część trzecia obejmuje cztery studia o funkcjach społecznych w rozwoju skamandryckiej dynamiki, a więc: wieczoru literackiego, satyry, kawiarni z tradycjami od „Picadora" do „Ziemiańskiej" i wreszcie czasopism literackich, ściśle związanych z działalnością Skamandrytów.

Książka Janusza Stradeckiego jest prawdziwą kopalnią wiedzy o realiach międzywojennego życia literackiego, przynosi mnóstwo faktów i informacji dotychczas jeszcze nie wyzyskanych, słowem — dla wszystkich, których pasjonuje historia literatury w okresie jeszcze stosunkowo nam bliskim, jest lekturą niemal obowiązkową.

Janusz Stradecki — „W kręgu Skamandra", PIW, W-wa 1977, str. 383, cena zł 90.—

CYBERNETYKA DLA KAŻDEGO

Tytuły niektórych rozdziałów w tej książce brzmią tak: „Polowanie na mamuty", „Ile jest benzyny w beczce", „Jak samego siebie podnieść za włosy?", „Gdzie należy uderzyć młotkiem?" — i, dalibóg, trudno byłoby się na ich podstawie zorientować, że autorzy roztrząsają szalenie poważne problemy związane z cybernetyką.

Tytuł książki brzmi: „Cybernetyka bez matematyki", a jej autorami są. Aleksiej Waldemarowicz Szylejko, profesor, dr nauk technicznych, kierujący katedrą elektroniki w moskiewskim Instytucie Inżynierów Transportu Kolejowego, specjalizujący się w dziedzinie cybernetyki i techniki obliczeniowej oraz Tamara Iwanowa Szylejko, która jest inżynierem i pracuje w dziale naukowo-technicznym redakcji radzieckiego czasopisma „Sputnik".

Autorzy piszą: „Przyjęło się obecnie powszechnie, kiedy mowa o cybernetyce, rozprawiać o maszynach matematycznych, o urządzeniach rozpoznających obrazy, o systemach kierowania produkcją, o robotach-szachistach i o wielu innych rzeczach, które z racji swej złożoności z trudem poddają się popularyzacji. Dlatego też większość tego rodzaju książek o cybernetyce odpowiada raczej na pytanie: do czego jest zdolna współczesna technika sterowania, aniżeli — jak lub dlaczego powstają te jej zdolności. Jednakże jednostronność procesów sterowania pozwala zademonstrować główne idee cybernetyki na bardzo prostych i zrozumiałych przykładach. Postanowiliśmy zatem napisać serię szkiców o mamutach, mydle, sznurach, samochodzie, żabie, maszynie do szycia i w ogóle o cybernetyce (...) My adresujemy tę książkę przede wszystkim do tych, którzy uczestniczyli w porywających przygodach Hucka Finna i Tomka Sawyera, wiele rozmyślali nad losem Małego Księcia, a z czarownego świata bajek wynieśli przekonanie, że „bajka bajką, lecz w każdej bajce — jakaś prawda jest zawarta".

Przytoczyliśmy tak obszerny fragment ze wstępu autorów celowo. Chodzi bowiem o to, aby czytelnik sam mógł się przekonać, że sięgnąwszy po „Cybernetykę bez matematyki" nie będzie się nudził i, co najważniejsze, wiele zrozumie. Nie często się zdarza, by popularyzatorów nauki cechowało poczucie humoru. Autorzy prezentowanej książki cechę tę posiadają. Toteż z całą odpowiedzialnością i spokojnym sumieniem możemy polecić „Cybernetykę bez matematyki" nawet jako lekturę wakacyjną. I ciekawą, i przede wszystkim pożyteczną.

Książka ukazała się w serii „Omegi" wydawanej przez Wiedzę Powszechną.

Aleksiej W. Szylejko, Tamara I. Szylejko — „Cybernetyka bez matematyki", tłumaczył T. Nowosad, Wiedza Powszechna, W-wa 1977, str. 201, cena zł 15.—

HISTORIA SPORTU

Do młodzieży, ale nie tylko, adresowana jest książka Wiesława Konrada Osterloffa „Historia sportu", która ukazała się nakładem Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia".

W części ogólnej książki znajdziemy rozdziały poświęcone historii i rozwojowi sportu w poszczególnych epokach począwszy od czasów najdawniejszych, poprzez klasyczny antyk, średniowiecze i odrodzenie, aż po erę nowożytnych olimpiad. Część szczegółowa przedstawia natomiast rozwój historyczny różnych dyscyplin sportowych i tutaj znajdziemy opisane dzieje takich dyscyplin, jak: lekka atletyka, boks, ciężka atletyka, sporty wodne, jeździectwo, gry w piłkę, gimnastyka, kolarstwo i sporty motorowe, strzelectwo, szermierka, sporty „wojskowe", sport lotniczy, sporty zimowe.

Całość „Historii sportu" zamyka krótki rozdział „Sport i świat współczesny", traktujący o roli, znaczeniu i perspektywach rozwoju, ale i także o przejawach wypaczenia współczesnego życia sportowego oraz aneks, w którym kibice lubiący wszelką sportową statystykę znajdą tabele ilustrujące osiągnięcia najlepszych polskich sportowców startujących w powojennych Igrzyskach Olimpijskich.

Krótka notka nie przekaże wszystkich zalet książki W. K. Osterloffa. W każdym razie, dla kibica, którego interesują najbardziej aktualne rekordy i wyniki będzie przewodnikiem po historii sportu, zawierającym wiele, często szerzej nie znanych faktów. I znakomicie uzupełni jego sportową biblioteczkę.

W. Konrad Osterloff — „Historia sportu", Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia", W-wa 1976, str. 314, cena zł 95.—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

RAFY, O KTÓRE ŁÓDŹ POTRĄCA

Sukces zawodowy jest rzeczą piękną i chwalebną, bo — osiągnięty w sposób uczciwy — przynosi korzyści społeczne. W interesie państwa i społeczeństwa jest przecież mieć obywateli zadowolonych ze swojej pozycji i osiągnięć, a nie sfrustrowanych i pełnych niechęci do świata.

Niechęć do świata owych sfrustrowanych najczęściej wynika z utajonej i często nieuświadomionej niechęci do samego siebie. W takich sytuacjach dochodzi do głosu złośliwa radość z cudzych potknięć i bezinteresowna zawiść wobec cudzych sukcesów.

Niedawno skarżyła się w telewizji Violetta Villas na złośliwość i niechęć, na ową paskudną otoczkę, jaką wokół niej wytworzyli dziennikarze. Oczywiście, dziennikarze zawsze biorą na swe barki winy nie popełnione. Także i w tym wypadku dostało się im niezupełnie słusznie. Piszę „niezupełnie", bo jednak prasa miała swój spory udział w kampanii żartów i kpin z piosenkarki. Ale przecież nie była to kampania wymyślona w redakcyjnych pokojach.

Otóż Violetta Villas uosabiała niegdyś mit wielkiego sukcesu i wielkich pieniędzy. Nie mogło to się podobać. Budziło niechęć. Wytworzyła się sytuacja, jak w owej anegdocie o polskim piekle. Tylko przy kotłach, w których siedzą Polacy, nie dyżurują diabły. Dlaczego? Jeśli któryś ze smażących się w smole zechce z kotła wyskoczyć, pozostali na pewno mu nie pozwolą.

Violetta Villas „wyskoczyła" ponad przeciętność i to jest faktem. „Wyskoczyła" ponad przeciętność przede wszystkim swoim niepowtarzalnym głosem, ale także — to najbardziej irytowało — swoją nieprzeciętną ekscentrycznością, sposobem bycia, swoimi wypowiedziami... Obrzucono ją więc epitetami, nieraz bardzo wulgarnymi, bardzo zresztą zręcznie ubranymi w elegancką formę.

Dziennikarze byli w tym dziele przekaźnikami owej atmosferki, jaka się wokół piosenkarki wytworzyła. Ale twórcą owej złej, podłej atmosfery była wszechobecna, bezinteresowna zawiść.

Żeby nie było niedomówień. Nie jestem wielbicielem stylu estradowego Violetty Villas, uważam też że pisze niedobre teksty... Ale ma niepowtarzalny głos i oryginalną osobowość, która może irytować, ale która jest jej autentyczną własnością.

Piosenkarka jest tu klasycznym przykładem człowieka sukcesu, otoczonego kręgiem zawiści, pomówień, kpin i złośliwości. Ale przecież nie jest jedynym przykładem.

Znam w pewnym mieście dyrektora, który z dwu prowadzonych przez siebie na przestrzeni paru lat instytucji uczynił firmy znaczące, głośne w kraju, notujące sukcesy. Człowiek ten jest autentycznym pasjonatem dziedziny, którą się zajmuje, cały czas — także swój prywatny — przeznacza na kierowanie, doglądanie, nadzorowanie... Potrafi wsiąść w samochód i pojechać w sobotę w drugi koniec Polski, aby sprawdzić, jak pracują jego ludzie. Po prostu — to, co robi, chce robić dobrze, ta praca daje mu zadowolenie, jest integralną częścią jego osobowości.

Jakże często słyszę właśnie o nim najgłupsze, najprymitywniejsze epitety. „Smierdząca sprawa, megalomania, idiotyzm..." Mówią to najczęściej ludzie głodni sukcesu, mordujący się ze swoją robotą jak galernik, ludzie dla których praca nie jest radością, lecz męką, lenie patologiczne przemyśliwujące całe dnie skąd wziąć forsę, ale nie ruszające palcem w bucie, aby po prostu z a p r a c o w a ć.

Znam w pewnym mieście innego dyrektora, który dla dziejów tego miasta zrobił tak wiele w ciągu tak niewielu lat, że żaden ograniczony urzędnik nie jest w stanie tego nawet zrozumieć. Człowiek ten kieruje instytucją mającą ogromne znaczenie dla p r z e s z ł o ś c i i p r z y s z ł o ś c i miasta. Praca, którą wykonuje, jest dla niego przede wszystkim m i s j ą, której oddał całą wiedzę, pasję i zaangażowanie. Nie muszę chyba dodawać, że dyrektor ten nie ma łatwego życia, spętany śmiesznym budżetem i nie skrywaną niechęcią koterii i grupek.

„Fałsz, zawiść, płaskość, mierność, nikczemność, głupota:
Oto rafy, o które łódź moja potrąca..."

— pisał przed laty Kazimierz Przerwa-Tetmajer, poetycki gwiazdor Młodej Polski, ówczesny człowiek sukcesu, którego także obszczekiwała ludzka zawiść.

WIDOK

LEWYM OKIEM

TO JA, TWOJA WENUS...

Uczestniczyłem niedawno w skromniutkiej imprezie, zorganizowanej z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy w pewnym technikum zawodowym w Łodzi. Impreza obejmowała m.in. „zgaduj—zgadulę" na tematy związane z książką i w ogóle z kulturą. Zgłosiło się sześciu chłopców szesnastoletnich. Na pytanie, sformułowane dosłownie tak: **„Podać nazwisko pierwszej wielkiej, uczonej Polki, która dokonała odkrycia z dziedziny fizyki i wyszła za mąż za Francuza"** — nie odpowiedział nikt. Na pytanie: **„Jak brzmi tytuł powieści radiowej nadawanej od wielu lat z Warszawy"** — nie odpowiedział nikt. Na pytanie, kto napisał „Księgę dżungli", padały pełne wahań odpowiedzi: London? Karol May?

Mimo takich wyników konkursu, nagrody oczywiście natychmiast rozdano, a każda warta była co najmniej dwieście złotych. Po czym włączono adapter i wszyscy wzajem przestaliśmy sie słyszeć, a chłopcom buzie pojaśniały z zadowolenia.

Po takim „wglądzie" w oczytanie młodzieży, mniej dziwi mnie rubryka „Propozycje wydawnicze" w społeczno-politycznym tygodniku studenckim „Politechnik", gdzie np. „Fausta" rekomenduje się tak:

„Johann Wolfgang Goethe — wielki poeta i pisarz niemiecki okresu burzy i naporu oraz klasyk. Dzieło jego życia, tragedia o Fauście, opowiada o legendarnym buntującym się geniuszu, który po paktach z diabłem i burzliwym życiu dostrzega swe posłannictwo w pracy dla ogółu".

Jak widzimy — dość infantylna informacja uwzględnia niewątpliwy dla jej autora fakt, że studenci wyższej uczelni nigdy jeszcze nie słyszeli o Goethem i o Fauście. Autor rubryki jest także studentem i rozeznanie ma chyba prawidłowe...

W tym samym numerze tygodnika „Politechnik" czytamy felieton o tym, jak pięknie udał się bal pewnego wydziału Politechniki Warszawskiej i ile tam było dowcipnych atrakcji. Na przykład szef rady wydziałowej **„Rżnął piłą potężną kłodę wspartą na ciesielskim stojaku z napisem „To ja, twoja Wenus", a koledzy pytali go dowcipnie: No i jak się rżnie?"** Autor felietonu przyznaje się skromnie: **„O swoim balu wydziałowym rozpisuję się nie bez powodu. Chcę w ten twórczy sposób dołączyć do politechnikowej dyskusji nazwanej „potrzebą świeckiego ceremoniału".** Mianowicie — jak z dalszych wywodów wynika — chodzi o stworzenie tradycji, obrzędów (ale świeckich!) i atmosfery. **„Jak ci się rżnie?"** — czyż okrzyk ten nie ewokuje natychmiast atmosfery starej, kochanej almae... pardon, łacina nieaktualna. Starej budy?

I jeszcze w tym numerze rozbrajający swoją chęcią szokowania felietonik pod tytułem: „Świat bez dupy". Felietonik ten obejmuje około pięciuset słów, w tym słowo „dupa" powtórzone 32 razy. Czyli co piętnaste słowo, to właśnie to. O autorach, posługujących się takim stylem, mówiło się kiedyś z przekąsem, że „wciąż mają dupę na ustach", ale tym razem sprawa jest — jak przystało na młodzież akademicką — głębsza. Oto zdanie wyjęte z omawianego felietonu, a stanowiące zapewne jego kwintesencję:

„Dupa wzbudza kontrowersje i nawet nie wiadomo dlaczego. Muszą być przecież jakieś kontrowersje na pokaz. Jeśli się psu rzuci kość, to nie będzie gryzł ludzi. I bardzo dobrze".

Czyli: rzućmy tę część ciała... to znaczy tę kość — niech ją sobie gryzą, przynajmniej nie zaczną czepiać się spraw ważniejszych i poważniejszych. To jest bardzo celna ironia, bardzo trafna myśl, Nie wątpię, że młodzi współpracownicy prasy akademickiej odnoszą ją także do siebie, chociaż z jednego, być może nietypowego, numeru pisma można by wyciągnąć wniosek, że nazbyt ich ta jedna atrakcyjna rzecz — kosztem ważniejszych i poważniejszych — zaabsorbowała...

ĆWIEK

PROPOZYCJE

SEZON

Nad morzem, nad jeziorami, w górach oraz w miejscowościach uzdrowiskowych sezon objawia się tym, że pewnego dnia, gdy tylko słonko dobrze przygrzeje, pojawiają się urlopowicze, wczasowicze i turyści. Najpierw jest ich mało, przybywają przede wszystkim ci, którzy nie lubią tłoku, albo ci, którym urlop przypadł akurat w tym okresie i muszą udawać, że nie lubią tłoku. Nad morzem, nad jeziorami, w górach i w miejscowościach uzdrowiskowych nagle ludność zwiększy się dwukrotnie albo i więcej i wtedy wiadomo, że już zaczął się sezon. Tu warto pamiętać, że niektóre miejscowości — jak na przykład górskie — sezon przeżywają dwukrotnie, raz latem, a raz zimą.

Klimat mamy nie najlepszy. Lato u nas krótkie. Z zimami ostatnio też różnie bywało. Wszystko w meteorologii — jak to doskonale wiemy — poplątało się i wiosną była jesień, co zresztą nie należy do wyjątków, bo już wielekroć różne pory dokładnie się mieszały. To tym bardziej komplikuje całą sprawę, bowiem wielekroć już usiłowano przełamywać sezonowość i na przykład ludzie nawet zimą jeżdżą nad morze wypoczywać. Uzdrowiska i domy wczasowe pracują przez cały rok, ale to i tak nie zmieniło do tej pory sytuacji. Sezon utrzymał swoją moc. I sezon komplikuje nam życie.

Wszystko wydawałoby się takie proste. Skoro sezony następują po sobie w pewnym cyklu i nie pojawiają się nagle oraz zupełnie niespodziewanie, to przecież można je przewidzieć i odpowiednio się do nich przygotować. Niestety, nie wszystko to, co wydaje się proste w teorii, jest proste w praktyce. Ludzie lubią być zaskakiwani. Życie pełne niespodzianek jest przecież znacznie ciekawsze niż życie ustabilizowane, uhonorowane. Kiedy przed kasami „Orbisu" ustawiają się kolejki, nieomylny to znak, że nadchodzą wakacje. I wtedy człowiek zaczyna się zastanawiać, co tu by kupić, co mu będzie potrzebne tego lata.

Na przykład radio. Zeszłego roku słuchało się „Lata z radiem". Audycja ma swoich wielbicieli. Ludzie piszą listy do „Lata z radiem". Czekają na „Lato z radiem". Byłoby więc dobrze, aby tego roku można było słuchać „Lata z radiem" na dobrym tranzystorze. Idzie człowiek do sklepu ZURT i staje zdumiony. Są radia podłączone do sieci. Są duże, drogie tranzystory. Nie ma małych, turystycznych właśnie. A jeszcze dwa tygodnie temu były. Wiadomo zbliża się sezon. Takich mądrych, którzy chcieliby słuchać „Lata z radiem" jest więcej. A czy handel nie może o tym też pomyśleć? Handel powiada, że może, ale producent nie daje już rady.

Skoro nie kupiliśmy radia, to trzeba kupić baterie do radia. Nie ma w tym nic śmiesznego, ani braku logiki. Będziemy bowiem teraz szukali radia, gdzie się da, może w jakimś wiejskim domu towarowym trafimy na poszukiwane radio, ale wtedy okaże się, że brakuje do niego baterii, bo sezon i ludzie słuchają radia dniem i nocą. Więc baterie trzeba kupić już teraz na zapas i kiedy wreszcie trafimy na upragnione radio, to okaże się, że byliśmy niebywale przewidujący.

W ogóle człowiek przewidujący i rozsądny powinien już zimą kupować wyposażenie turystyczne na lato, a latem — czyli teraz — przygotować się do zimowej wyprawy na narty. Ale — jak już się rzekło — my nie lubimy stabilizacji i uwielbiamy być zaskakiwani. Kiedy więc stajemy w sklepie w charakterze słupa soli i stwierdzamy ze zdziwieniem, że znów coś przespaliśmy, że znów nas lato zaskoczyło, to nie miejmy o to pretensji do handlu. Handel robi co może, aby nie brakło nam niespodzianek. A przemysł mu w tym z powodzeniem sekunduje.

Sezon — można powiedzieć — już się zaczął. Prasa doniosła o pierwszych słomianych wdowcach, którzy padli ofiarami chęci użycia nocnego życia. Milicja będzie więc miała pełne ręce roboty, bo słomianych wdowców będzie znacznie więcej. Milicja będzie musiała szukać walorów, które słomiani wdowcy straca razem ze złudzeniami. Ale słomiany wdowiec żyje nie tylko złudzeniami i chęcią użycia. On musi też coś jeść. Na ten czas dla słomianych wdowców idealne są wprost wszelkiego rodzaju mrożonki. Tylko, że najczęściej mrożonki to mżonki.

Chłodnia w Ciechanowie produkowała knedle ze śliwkami. Knedle się przyjęły i chłodnia wysiadła, gdyż knedle były robione... ręcznie. W Poznaniu opracowano prototyp maszyny do robienia knedli ze śliwkami. Może coś z tego wyjdzie Niektórzy opowiadają, że ponoć znakomite flaki robią w Dębicy, Wrocławiu, Chrzanowie, Zamościu. Ale rozchodzą się one w rejonach bliskich miejsca produkcji, a u nas rozchodzi się tylko wieść o tym.

Zaczął się sezon. Właśnie nadeszła wiadomość, że na wybrzeżach naszego morza milicja wymierzyła już 250 mandatów za plażowanie na wydmach, parkowanie w lesie, niszczenie lasów. A to dopiero początek. Dane pochodzą jedynie z Wybrzeża i z pierwszych dziesięciu dni czerwca, a co będzie dalej.

Sezon niesie z sobą niespodzianki. Bez sezonów jednak życie byłoby monotonne.

MARCIN RODAK

magazyn

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA

GWIAZDY, MITY I KARIERY

Mit gwiazdy, legendy ich życia, skutecznie pobudzają naszą wyobraźnię, a lansowana przez środki technicznego przekazu „filozofia sukcesu", rozpala ją do czerwoności. Statystyki konkursów typu „piękne dziewczęta na ekrany", dramatyczne, czasem żenujące lub dla odmiany zabawne wydarzenia, towarzyszące poszukiwaniom wykonawczyń głównych ról filmowych, zajścia przy rekrutacji do szkół filmowych i teatralnych, świadczą o ogromnej popularności zawodu aktora, który, być może najdokładniej i najbarwniej symbolizuje życiowy sukces i wygraną. Kolorowe odbicie wielkiej kariery w hollywoodzkim stylu — superprodukcja, dolce vita, złote Oskary i blichtr! Jak przedstawia się ten mechanizm — w jego praktycznej realizacji w wydaniu polskim? jak wygląda u nas ta fascynująca relacja — dziewczyna — szkoła filmowa — kariera? w jaki sposób przemierzają one drogę od marzenia do jego materializacji na teatralnej scenie czy filmowym ekranie, jak w świadomości „pokolenia dżinsowego" funkcjonuje legenda gwiazdy, sukcesu i kariery? Aby szerzej i bardziej wyczerpująco przedstawić problem pod kryptonimem „polska aktorka 1977", będą i inne pytania, rozsądniejsze i ściślej łączące się z życiem i naszymi rodzimymi realiami — czego naprawdę spodziewa się Pani od swego zawodu?, co to znaczy dobra aktorka?, wreszcie, pytanie finalne — jaka jest dziś sytuacja kobiety w tym zawodzie? Odpowiadają: studentka Państwowej Szkoły Teatralnej, Filmowej i Telewizyjnej **ANNA SOBIK** i absolwentki tej szkoły, **ELŻBIETA CZAPLIŃSKA** i **BARBARA DEMBIŃSKA.**

ANNA SOBIK (I rok): Fascynacja zawodem aktorskim trwała u mnie od bardzo dawna — najpierw były albumy aktorek i pensjonarskie marzenia, a wszystko to zupełnie jeszcze niepoważne. Jednak coś w tym musiało być, skoro decyzja, jaka zapadła po ukończeniu liceum była — nieodwołalna — szkoła teatralna. Pomógł mi także, jak często w takich przypadkach bywa, tzw. ślepy traf, szansa zagrania roli w filmie reżysera Jana Rybkowskiego „Dulscy". Trzy miesiące na planie filmowym z jego krzątaniną, nerwowością, tempem, dało mi praktyczny obraz mojej przyszłej pracy: już, mniej więcej, wiedziałam, co mnie może czekać — owszem, ciężka harówa, ale też wiele, bardzo wiele satysfakcji. Miałam dwa „podejścia", najpierw zdawałam do warszawskiej Szkoły Teatralnej, jestem z Warszawy, więc to było najlepsze wyjście. Nie zostałam przyjęta, powiedziałam sobie — nigdy więcej, i zaczęłam przygotowywać się na psychologię. Ale już w marcu tak mnie wzięło, że w półtora miesiąca przygotowałam teksty, piosenkę i taniec. Tym razem zdawałam w Łodzi, udało się. W szkole, cóż, każdy dowiaduje się, jak wiele może, powoli poznaje swoje możliwości, obraz rozjaśnia się. Bardzo mocno żyjemy szkołą, swoim przyszłym zawodem, mimo że zajęć obowiązkowych jest dużo, bardzo dużo, prócz zajęć teoretycznych, wiele praktycznych — basen, dżudo, szermierka, balet, często zdarza się zostawać dłużej, żeby przegadać jakąś sprawę warsztatową, albo zorganizować dodatkową próbę. Teraz, na pierwszym roku mamy scenę, na drugim będą elementy aktorstwa filmowego, praca przed kamerą, potem jeszcze estrada. W ten sposób opanowujemy podstawową wiedzę o pracy we wszystkich rodzajach aktorstwa. Co potem? — oczywiście teatr. Marzy mi się przede wszystkim dobry teatr. Film, owszem, ale raczej jako epizod, przygoda, niewielu jest u nas aktorów, żyjących wyłącznie filmem i z filmu. Teatr, prócz wielu innych plusów, daje szansę spokojnej pracy i doskonalenia warsztatu. Myślę, że kobieta też może znaleźć w tym zawodzie maksymalną satysfakcję, co będzie dalej, pokaże czas. Jest mi wszystko jedno — mały, czy duży ośrodek miejski, liczy się jedynie możliwość grania. Wiem, krążą opinie o naszej próżności, megalomanii i ustawicznym polowaniu na sukces. Oczywiście, ważny jest sukces, w każdym zawodzie myśli się o wygranej. Dla mnie sukces, kariera, to przede wszystkim akceptowanie przez widzów mojego zawodu, wysiłku, starań, pracy.

ELŻBIETA CZAPLIŃSKA (absolwentka): Moje zainteresowania zawodem aktorskim także rozpoczęły się wcześniej niż zapadła jakakolwiek decyzja przyszłej pracy — zajęcia w kółkach recytatorskich, fascynacja światem filmu i teatru, zawodem aktorskim, możliwością przemian i różnorodnością przeżyć. Zdałam od razu, co uchroniło mnie od wielu stresów i wątpliwości co do trafności wyboru. Tak się złożyło, że już w szkole grałam dużo, w etiudach filmowych kolegów z Wydziału Reżyserii, i w filmach renomowanych już reżyserów, w „Krótkim życiu" Zbigniewa Kuźmińskiego i główną rolę kobiecą w „Sowizdrzale świętokrzyskim" Henryka Kluby. Taka warsztatowa praktyka może dać młodemu aktorowi bardzo wiele, szczególnie praca z reżyserem, który, jak Kluba otwarty jest na propozycje innych ujęć postaci i traktuje aktora w sposób dla niego najbardziej twórczy — partnerski. Aktorstwo, to ciężka, wymagająca inicjatywy, sił i konsekwencji działania praca. Oczekuję wiele, ale zamierzam dać także niemało. A co będzie? — Znam trudną sytuację kobiet w teatrze, te najmłodsze wnoszą tacę lub anonsują „przyjazd księcia pana", starsze, wobec dużej konkurencji, grają niewiele. A i ról kobiecych nie jest dużo, właściwie bardzo mało. Ale jestem pełna nadziei, zostałam zaangażowana do wrocławskiego Teatru Polskiego: jest tam także wytwórnia filmowa i telewizja, a przede wszystkim znakomity teatr ze świetnymi reżyserami, Zaborskim, Grzegorzewskim, i innymi. A kariera? — to raczej potwierdzenie wartości tego, co robię.

BARBARA DEMBIŃSKA (absolwentka): Dobra aktorka, to według mojej opinii taka, która radzi sobie z każdym rodzajem roli, która ma opanowany warsztat teatralny, filmowy, wystąpi na estradzie i odnajdzie się w kabarecie. Talent, to tylko punkt wyjścia, cały dalszy ciąg, to konsekwentna i ciężka praca. Gromadzenie doświadczeń, sprawdzanie się w różnych sytuacjach, rozmaitym repertuarze. W dużym, czy mniejszym ośrodku? — myślę, że stosunkowo łatwiej uniknąć skrzywień zawodowych w teatrach wielkomiejskich, dysponujących wieloma doskonałymi reżyserami, proponującymi jakieś nowe rozwiązania gry aktorskiej, dającymi większe możliwości dostrzeżenia przez film i telewizję, co nie jest oczywiście bez znaczenia dla rozwoju jego możliwości zawodowych. Może dlatego młodzi aktorzy wolą większe ośrodki teatralne...

I nie ma w tym nic dziwnego — cztery lata nauki, często zarazem pracy zawodowej, w czasie których tylko nielicznym udaje się „zostać dostrzeżonym". Reszta, po przedstawieniu dyplomowym, jedynej naszej możliwości prezentacji, na którą z rzadka tylko przybywają panowie dyrektorzy teatrów, zwykle z mniejszych ośrodków, gdzie nie ma ludzi, idziemy w ciemno, w nieznane. O własnych siłach, umiejętnościach, sile przebicia. Nie interesuje się nami nikt, prasa także nie, póki nie spotkamy tej naszej „wielkiej szansy", zagrania w jakiejś znaczącej, sztuce teatralnej, spektaklu telewizyjnym, czy filmie. A czas płynie... Pominąwszy nawet uwarunkowania biologiczne, bardzo ważne dla aktorek, ich sytuacja jest jeszcze cięższa — mała ilość ról kobiecych we współczesnym szczególnie repertuarze. „nieekonomiczna gospodarka" aktorkami. Najważniejsza sprawą dla aktora jest dobry teatr i dobry reżyser, dlatego znalazłam się u Kazimierza Dejmka w łódzkim Teatrze Nowym.

Dla konfrontacji powyższych wypowiedzi zwróciłam się do pedagogów Wydziału Aktorskiego łódzkiej Szkoły Teatralnej i Filmowej. Czego oczekuje dziewczyna, stukając do bram „fabryki snów", a czego może oczekiwać w zamian za swój talent i ciężką pracę?

Prodziekan Wydziału **WALDEMAR WILHELM:** Mit gwiazdy, kariera, błyskotliwy sukces... Myślę, że dziewczyny, które przychodzą do nas, nie spodziewają się zbyt wiele. Kolejność docierania do nas jest taka — jeśli któraś zamarzy sobie karierę, zgłasza się do naszej poradni, a jak przez nią przejdzie, ma już niejaką świadomość ewentualnego przyszłego zawodu i związanych z nim trudności. W większości przypadków — odradzamy, z uwagi na widoczny brak predyspozycji fizycznych, intelektualnych, dykcji i wszystkiego tego, co mieści się w pojęciu — talent. Tylko w nielicznych przypadkach popieramy decyzję. Dziewczęta przychodzą do nas pod namową matki, koleżanek, znakomitych wyobrażeń o swojej powierzchowności, która w ich przekonaniu uprawnia je do tego zawodu, nie mają najmniejszego rozeznania co do trudów i komplikacji zawodu, trybu pracy, możliwości zatrudnienia. Jest tylko mit aktorstwa, aura szkoły, szum kamer. My odradzamy, a one i tak przychodzą. Potem stresy, rozczarowania... A przecież prawdziwa praca i trudności dopiero przed nimi. Sytuacja kobiety w zawodzie aktorskim rzeczywiście nie jest łatwa, i nie tylko z uwagi na determinacje biologiczne — mniejszą wytrzymałość fizyczną, problem macierzyństwa, specyficzną rolę w rodzinie a także fakt, że czas płynie dla nich szybciej. Ról kobiecych jest rzeczywiście znacznie mniej niż męskich, a literatura współczesna pogłębiła jeszcze ten problem. Na przykład obsada „Wesela", modelowa dla dramatów klasycznych — ile jest tam ról kobiecych, a ile męskich? A Szekspir? Proporcje są jak 1:12, a sztuk typu „Dom kobiet" jest bardzo niewiele. W dramatach współczesnych jest jeszcze gorzej — rola kobiety została sprowadzona do epizodu, dodatku, albo zupełnie wyeliminowana. W miarę upływu czasu sytuacja aktorki jest coraz trudniejsza, bo ile jest w końcu ról matek czy ciotek? Przy powszechnym systemie eksploatowania w teatrze jednej, zwykle młodej twarzy aż do jej „wytarcia", nie są to więc prognozy zbyt optymistyczne. A „gwiazda"? — ileż aktorek, choćby tylko na krótko, czekać może „wielka wygrana"?

Dziekan Wydziału **JAN ZDROJEWSKI:** Jest to zawód trudny i drapieżny — wielość sytuacji stresowych, niespokojny, nie unormowany tryb życia, dom, macierzyństwo, konieczność jak najdłuższego zachowania urody. Choć z macierzyństwem dziewczęta radzą sobie doskonale, na czwartym roku, liczącym dwadzieścia kilka osób, jest już jedenaścioro dzieci. Jakie są kobiety w zawodzie aktorskim? — chyba solidniejsze i cierpliwsze w pracy, szybciej „otwierające się" do zawodu, szybciej dojrzewające duchowo i życiowo. Ich szanse w przyszłej pracy? — w dużym stopniu zależy to od „przyrody aktorskiej", na przykład warunki „charakterystycznej" są dłużej przydatne w teatrze, niż „amantki". Grają one zwykle dłużej, gdy amantkom pozostaje już tylko radio. Co jest w tej profesji ważne? — aby zawód był „nałożony" na osobowość, i to właściwie. Mówię tu o specjalnych predyspozycjach duchowych i fizycznych. Profesor Perzanowska powiedziała kiedyś, że aktor powinien mieć dwie następujące cechy zasadnicze — wrodzone poczucie humoru, i także wrodzone poczucie punktualności. Myślę, że powinno być kilka jeszcze innych: wyobraźnia, cierpliwość, umiejętność pracy w zespole... Zawód ten nie jest oczywiście niezmienny, podlega rozmaitym kierunkom, tendencjom i modom — gra niegdysiejszych idoli, dziś byłaby pewnie nie do strawienia. Sam model teatru był kiedyś wyraźniejszy, inne były wzorce gestu aktorskiego, inna dykcja, inny stosunek do improwizacji. Zmieniają się modele teatru, wzorce aktorstwa, pozostaje sztuka i nasz do niej stosunek, entuzjazm i praca. Myślę, że nasze kandydatki na „gwiazdy" wiedzą o tym doskonale.

Spodziewałam się rozważnych i racjonalnych odpowiedzi pedagogów szkoły, ale, przyznam, że refleksje tych młodych dziewczyn, przyszłych idoli teatru, filmu i telewizji, zaskoczyły mnie mocno. Nic z sentymentalnych emocji, egzaltacji karierą gwiazdy, aurą arystystowskiego zawodu, życia, sukcesu, za to wiele trzeźwości, rozsądku i realistycznej oceny własnych możliwości zawodowych, życiowych. Oczywiście, nie sposób tak zupełnie uwierzyć, że w ich świadomości zupełnie i nigdy nie zagościła myśl o błyskotliwej, światowej karierze w amerykańskim stylu, popularności na miarę spełnionych marzeń licealistek, i sukcesu „jak w kinie", ale dziewczyny zmierzają ku swojemu zawodowi z dużą świadomością kobiecych, rodzinnych i życiowych komplikacji tego startu i znajomością reguł zawodowej gry.

ELEONORA KARPUK

JUTRO

Tutaj, jak na każdym targowisku ruch panował od samego świtu. Zanim przyjdą pierwsi kupcy trzeba przecież posortować i poukładać towar, przygotować wagę i ciężarki, poustawiać skrzynki i koszyki. Stragan Halify znajdował się w centrum rynku, w jednym z najlepszych punktów, a wypełniały go przeważnie jabłka, rzadsze tu od innych owoców i dlatego bardziej cenione.

Dziś Halifa otrzymał nową dostawę. Było tego kilka skrzynek a w każdej z nich znajdowała się inna odmiana: jabłka złote i czerwone, okrągłe jak pomarańcze i podłużne jak cytryny. Halifa wyjmował je po kolei ze wszystkich skrzynek, a każdą odmianę dzielił na dwa gatunki, na mniejsze i większe, które układał w różnych piramidach. Najgorsze, sprzedawane najtaniej, zostawił w koszu, który umieścił pod stołem, zaś uszkodzone i podgnile owoce trzymał razem na tyłach straganu.

W jednej ze skrzynek Halifa natrafił na wyjątkowo piękne jabłko. Było czerwone, okrągłe i lśniące. Rozmiarem dwukrotnie przerastało wszystkie inne, nawet te największe. Zobaczywszy je Halifa pomyślał, że już dawno nie widział takiego jabłka, a kto wie — może w ogóle nie widział takiego nigdy przedtem?

Pierwszą myślą Halify było zjeść je, ale na to nie pozwoliła mu handlarska mentalność. Z natury nie był skąpy. Był szczodry, a czasami nawet rozrzutny. Zdarzało mu się pójść do restauracji i na jeden obiad wydać całodzienny utarg. Nie był człowiekiem, który trzęsie się nad każdym groszem. Ale to przecież zupełnie co innego! Towar jest towarem! Wszystko jedno, co zjeść, ale zupełnie nie wszystko jedno, co sprzedać! Zgodnie z tą logiką w bogatym domu Halify zawsze zjadano tylko podgniłe owoce, chociaż trzeba przyznać, że i wśród nich zdarzały się równie piękne okazy.

Drugą jego myślą było zanieść jabłko żonie. „Hm... czy to mojej żonie jabłek brakuje!..." — rozmyślił się po chwili.

Położył więc jabłko trochę z boku tak, że od razu rzucało się w oczy i tym samym zdobiło cały stragan. Patrzył na nie i jego serce wypełniała radość, ta sama, jaką odczuwamy na widok pierwszej wiosennej zieleni, małego koźlęcia skaczącego wesoło wokół swej matki lub na widok długich warkoczy złocistej i fioletowej cebuli zebranej z własnego poletka i podwieszonej u sufitu naszej kuchni. Postanowił włożyć je temu, kto specjalnie o nie poprosi. Miasteczko nie było zbyt duże i Halifa dobrze znał wszystkich swoich stałych kupców. Teraz próbował z góry odgadnąć, który z nich stanie się posiadaczem tego jabłka.

Oto przyszła żona nauczyciela. To cicha niesmiała pani. Zauważyła jabłko, ale nie upomniała się o nie, toteż pozostało na swoim miejscu. Potem przychodzili inni kupcy. Czas mijał, a ono wciąż jeszcze leżało tam, gdzie położył je Halifa. Koło południa na rynku pojawiła się Suada. Zbliżyła się niepewnie do wielkiego straganu. Jej oczy rzucały trwożliwe spojrzenia — raz na jabłko, raz na Halifę, który krzątał się wokół skrzynek i koszy. Ten już dawno zauważył obecność dziewczynki i od razu wyczuł jej zamiary. Wszyscy na tym rynku znali Suadę. Przychodziła co dzień i zbierała odpadki, wypraszała, co się dało, lub po prostu podkradała towar wykorzystując chwilę nieuwagi sprzedawców. I dziś przyszła jak zwykle.

Wydawało się, że wielkie, czerwone jabłka hipnotyzują Suadę. Nie, nie „jabłka", ale właśnie to jedno! Oczy dziecka przykleiły się po prostu do jego błyszczącej, gładkiej skórki.

Od tej chwili rozpoczęło się swoiste polowanie: Suada polowała na jabłko, a sprzedawca polował na Suadę. Oboje przytrzymywali się tych samych zasad gry. Ona udawała, że wcale nie interesuje jej czerwona, uśmiechnięta buzia owocu, zaś Halifa udawał, że w ogóle nie dostrzega dziewczynki.

W pewnej chwili Suada szybko wyciągnęła rękę i pochwyciła owoc, Halifa jednakże był szybszy i błyskawicznie pochwycił rękę z jabłkiem.

— Mam cię, mały złodzieju! — wykrzyknął z triumfem. Fakt, że z „polowania" on właśnie wyszedł zwycięzcą wyraźnie sprawiała mu satysfakcję. Pociągnął Suadę za ucho i mocno odepchnął od straganu. Nie chciał odepchnąć jej aż tak mocno. Po prostu był silny i nie zawsze potrafił tę siłę prawidłowo wymierzyć. Dziewczynka upadła i rozpłakała się. Szybko się jednak podniosła i pocierając rozbite kolano uciekła w sobie tylko wiadomym kierunku. Należała do tych bezdomnych dzieci, które zjawiają się nagle i znikają nie wiadomo gdzie, gdzieś w swoich własnych, stałych lub zmiennych kryjówkach.

Halifa zaśmiał się rubasznie:

— To będzie dla niej dobra nauczka! — powiedział zwracając się do sprzedawców z sąsiednich straganów. — Tak się właśnie zaczyna złodziejstwo, najpierw jabłka, a potem co innego...

Sąsiedzi pokiwali głowami ze zrozumieniem i aprobatą. Inni ludzie również spostrzegli ten incydent. Niektórzy nawet porzucili na moment swoje zajęcia, patrzyli na Halifę i uciekającą Suadę i rozmawiali, ale co mówili — Halifa nie słyszał. Zresztą nie zwracał na nich uwagi.

W dalszej części dnia nie zdarzyło się już nic więcej. Handel szedł zwyczajnie i utarg okazał się zwyczajny. Ani dobry ani zły. Gdy po zamknięciu bazaru Halifa przyszedł do domu, okazało się, że ktoś zdążył już opowiedzieć żonie przygodę z Suadą i ta patrząc potępiająco na męża, rzekła z wyrzutem:

— Ty, który nie masz dzieci, a tak bardzo pragniesz je posiadać, pożałowałeś cudzemu dziecku jednego jabłka!...

— Ależ, moja droga! — odrzekł Halifa ani trochę nie zbity z tropu — przecież wiesz, że nie o to chodzi. Przecież zawsze jej coś daję, jeśli tylko poprosi... Zawsze mam takie owoce, które nie mogą leżeć i wolę je komuś oddać niż wyrzucić za parę dni na śmietnik... Ale uważam, że nie wolno dopuścić do tego, by taki dzieciak przyzwyczaił się do kradzieży... Trzeba czasem dać nauczkę, aby wyrósł na uczciwego człowieka...

— Jaki tam pożytek z tej twojej nauki! Uczyć lubią wszyscy bez wnikania w sedno sprawy. Powiedz, czy ty sam chociaż raz zaproponowałeś jej te odpady zanim zaczęła wypraszać? Przyzwyczaić się do żebractwa jest tak samo niedobrze, jak przyzwyczaić się do kradzieży...

— Hm...

— Ale to wcale nie najważniejsze. Każde dziecko ma kogoś, kto je pieści, podsuwa łakome kąski, próbuje zgadnąć, jakiego prezentu oczekuje na urodziny. A Suada? Jestem pewna, że nikt nigdy nie zechciał poznać jej pragnienia, a ty odkryłeś jedno z nich przypadkiem i nie spełniłeś, choć było tak niewielkie!...

I nagle wszystkie racje upadły. Dobry nastrój, którym Halifa cieszył się dziś przez cały dzień prysł w jednej chwili, a jego miejsce zajęło palące uczucie wstydu.

Tak, każdy człowiek, nawet najsprawiedliwszy, patrzy na rzeczy tylko z jednego punktu widzenia, i jakże trudno jest dostrzec rzeczy najprostsze, o ile tylko trzeba na nie spojrzeć cudzymi oczyma! A teraz, gdy leżał już w łóżku, wciąż jeszcze rozmyślał o tym zdarzeniu. Coraz silniej wzbierała w nim chęć naprawienia tego, co uczynił, zadośćuczynienia, tak, że gdy prawie już zasypiał, przewracając się na drugi bok, marzył jeszcze na wpół we śnie, na wpół na jawie:

— A może Suada przyjdzie jutro?...

ANDRZEJ GRUN

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 1263, W-2.